

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 27 WRZEŚNIA 1930 ROKU

NR. 39

TREŚĆ NUMERU: Jak czytać i propagować czytelnictwo — *Natalja Jastrzębska*. Obrońcy dzieci Paryża — *Wanda Grabińska*. Poezja: Na ziemi i na niebie — *Mieczysław Lisiewicz*. Nieudana sprawa (dok.) — *Kaziemiera Mazurkova*. Góry i ludzie — *Lucyna Krzemieniecka*. Czem się entuzjazmuje kobieta? — *Hanka Kłosińska*. Z życia ekranu — *Stef. H.* Kobieta w świecie i w domu: Gospodarstwo kobiety pracującej zawodowo — *Jadwiga Krawczyńska*. W kraju, który nie pisze historii — *M. Karczerska*. Zapasy zimowe — *Wanda Dobrzańska*. Współczesna kuchnia włoska — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: A jeżeli trykot... to jaki? — *Well*. Dodatek powieściowy: „Kraska w jarzębinie” — *Zofja Reutt-Witkowska*. Arkusz wzorów.

JAK CZYTAĆ I PROPAGOWAĆ CZYTELNICTWO

Stwierdziwszy, że szeroki ogół kobiet, aczkolwiek czyta przeciętnie więcej, niż mężczyźni, to jednak czyta za mało i źle, musimy zastanowić się, co można uczynić ku poprawie.

Przedewszystkiem, kobiety powinny poświęcić większą uwagę czasopismom.

Widzieliśmy już bowiem, że czytelnictwo kobiece najgorzej się pod tym względem przedstawia. A tymczasem dzienniki i tygodniki powinny właśnie stanowić podniecie w zamiłowaniu lektury.

Dziennik daje nam obraz i oświetlenie codziennych, ważnych spraw aktualnych, przez niego utrzymujemy łączność z najdalszym światem i nabieramy pojęcia o istocie otaczających nas zdarzeń.

Tygodniki znów i inne czasopisma omawiają ciekawe zagadnienia społeczne i naukowe, dają nam wiadomości i wskazówki, dotyczące książek, zapładniają umysł, nasuwając mu tematy do bliższego z nimi zapoznania i głębszego zastanowienia.

Można śmiało twierdzić, że człowiek, który uważnie i z zajęciem zacznie przez pewien czas czytać gazetę i tygodnik, sięgnie wkrótce i po książkę, zarówno beletrystyczną, jak podróżniczą i popularno-naukową, więcej, że człowiek taki nie będzie niedbale poznawał lub pochłaniał byle jakiej lektury, bez wyboru, dla zabicia czasu, dla posmakowania z nudów w czytaniu, jak w chrupaniu karmelka, lecz, że będzie wiedział, co chce przeczytać.

Kobiety powinny jeszcze ponadto uznać za sprawę sumienia czytanie swoich organów, pism kobiecych. Nie mam bynajmniej zamiaru ujmowania

zasługi czasopismom ogólnej treści, ale pogląd większości z nich na kobietę i sprawy dla niej najważniejsze nie stoi na tym poziomie, aby stanowić mógł dla kobiet poważne kryterjum. Błędne i chaotyczne wiadomości, dotyczące ruchu kobiecego i jego zdobyczy, bardzo ciasne, a niekiedy wprost stronne ujmowanie najważniejszych dla kobiet zagadnień, wszystko to sprawia, że każda kobieta, w swoim własnym, najżywotniejszym interesie, powinna obok innych, ogólnych, bezwzględnie czytać pismo kobiece. Ono zawsze w sprawach dla niej najżywotniejszych poinformuje ją najdokładniej, ono jej umysłowi i sercu najpewniej i najrozumniej doradzi.

Przechodząc do czytania książek, powinniśmy zdać sobie sprawę, że lektura jest dla umysłu towarzystwem duchowym. Znajomych dobieramy sobie starannie i napewno nie zgodzilibyśmy się spędzać godzin w towarzystwie pierwszych lepszych ludzi o podejrzanym wyglądzie, fatalnym sposobie wyrażania się i złych obyczajach, a tymczasem jakże często chwytamy pierwszą lepszą książkę. Treść: sensacyjne banały, kryminalne awantury, lub pornografja, język rozpaczliwy, szata zewnętrzna ohydna, książka taka, to jak psychiczny rzezimieszek lub psychiczny głup-tak, a jednak ilu ludzi ją czyta, ilu niewiele czytuje innych — ile jest w tej liczbie kobiet!

Z tem trzeba zerwać przedewszystkiem. Człowiek kulturalny, inteligentny obywatel, czy obywatelka ma pewne obowiązki, w zakresie czytelnictwa, tak, jak w każdym innym. Jak nie zaśmiecamy domów i ulic, tak samo nie możemy zaśmiecać sobie

umysłu. Jak znamy i szanujemy prawa, tak szanować i znać jesteśmy obowiązani zdobycze kultury — dobre książki.

Jak je poznać? Dla człowieka, posiadającego bodaj elementarne podstawy wykształcenia, nie jest to zbyt trudne. Przedewszystkiem, nie wstydzmy się przypomnieć sobie nawet... programu szkolnej lektury. Iluż inteligentnych ludzi „zapomniało“ prawie doszczętnie Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkową. Powróćmy do tych dzieł w dobie dojrzałości rozwoju umysłu, sądu i życiowego doświadczenia. Wydadzą nam się inne, niż w młodości, ale znajdziemy w nich zawsze skarby języka, świetne obrazy ludzi i epoki, głębokie, poważne ujęcie różnorodnych zagadnień i... ciekawą fabułę powieściową.

A co czytać z rzeczy nowych? Tu wskazówek dostarczy nam z jednej strony krytyka w czasopiśmie, z drugiej katalogi rozumowane, wreszcie osobista orjentacja w twórczości różnych autorów. Zasadniczo, należy poznać wszystkie wartościowe rzeczy, które wyszły w danym czasie. Poza to każdy, czytający inteligentnie i z zamiłowaniem, wyrobi sobie prędko zdolność wyboru, podług swych upodobań. Można przecież mieć ulubiony rodzaj literacki, ulubionych autorów, można tak samo nie lubić czytać czegoś, choćby to nawet było głośne i reklamowane; byleby tylko mieć świadomość tego, co się chce czytać i co nam przynosi korzyść.

Niezmiernie ważne jest też uwzględnienie w budżecie pozycji na książki. Niech to będzie suma najskromniejsza, ale niech istnieje. Czasy są ciężkie, ograniczać się musimy bardzo, ciągle się to powtarza, z drugiej strony jednak, jeżeli skrupulatnie policzymy się z sumieniem, stwierdzimy napewno, że możemy sobie od czasu do czasu kupić książkę. O prenumeracie pism nie mówię, gdyż niema chyba w Polsce kulturalnego domu, w którymby jakiegoś pisma nie prenumerowano, przydałoby się nam jednak abonować ich trochę więcej.

Książki, naturalnie, trudno nam jest kupić wszystkie, które chcemy przeczytać, mogą to robić tylko ludzie bardzo zamożni. Średnio usytuowani korzystać muszą z czytelnicy, a potem wybierać sobie, co chcą mieć na własność. Taka niewielka, ale starannie dobrana biblioteka powinna być w każdym domu. Poza to na prowincji praktykuje się niekiedy (zbyt rzadko) organizację biblioteczeki ruchomej. Grono osób znajomych kupuje pewną ilość książek, czyta się je kolejno, a potem rozlosowuje, lub wybiera na własność.

Wszystko to są rzeczy znane, a jednak naprawdę praktykowane zbyt rzadko, nawiasowo i bez zapalu.

Istnieje dla rodziców wogóle, a specjalnie dla matek jeden jeszcze obowiązek: zapoznanie się z literaturą dla dzieci i młodzieży, przeczytanie każdej książki, którą mamy naszym dzieciom. Obowiązek, do

którego skandalicznie mało przywiązujemy wagi. Jeżeli kupujemy dla dziecka ubranie, obejrzymy je starannie ze wszystkich stron, mamy w tym względzie dziesiątki wymagań, gustów i grymasów, a książka? Jakże często żądamy w księgarni książki dla chłopca lub dziewczynki, w wieku... i nie pofatygujemy się nawet zajrzeć do niej. A przecież każdy ma chyba jakiś swój system wychowawczy, jakieś idee i przekonania, które chciałby wpoić w swoje dzieci, one zaś mają jakieś upodobania, które rodzice znać powinni, wreszcie istnieją różne prądy w literaturze dla młodzieży, które trzeba wziąć pod uwagę i ustosunkować się do nich. Jakże można wobec tego nie poznać książki, którą czytać ma nasze dziecko?

Jeżeli już sami stoimy na właściwym poziomie w stosunku do sprawy czytelnictwa, to jeszcze pozostaje nam obowiązek propagowania go wśród naszego otoczenia.

Obowiązek ten dotyczy w dużym stopniu kobiety. Ona, jako pani domu, propagować może książkę wśród domowników, w życiu towarzyskiem; od niej zależy wyrobić dla niej miejsce w rozmowie, czy to w gronie ściśle rodzinnem, czy też na zebraniu, bez względu na to, czy zebranie jest w „salonie“ w dużym gronie gości, czy w najskromniejszym mieszkaniu, podczas odwiedzin paru najbliższych osób.

Przed wojną, kiedy nie mieliśmy życia publicznego, zainteresowanie literaturą było daleko większe, zabierało dużo miejsca w życiu rodzinnem i towarzyskiem. Nowa książka była „zdarzeniem“. Dziś mówi się: mamy tak wiele przeżyć realnych, że mniej interesują nas literackie. Jest to pogląd z gruntu błędny. Gwałtowny prąd życia absorbuje nas więcej chwilowo dlatego, że mało jesteśmy doń przyzwyczajeni, nie oswoiliśmy się z nim, nie umiemy jeszcze uporządkować swego czasu i swoich wrażeń. A tymczasem, do należytego zorientowania się w otaczających nas zdarzeniach, do wyrobienia sobie pewnego sądu, do uzupełnienia wreszcie (iluż starszym, zwłaszcza, jest to potrzebne) zaniedbanego wykształcenia, do nadążenia za tysiącami zjawiskami życia, których istotę trzeba poznać, do tego wszystkiego potrzeba nam koniecznie lektury. Nowa książka może nie być dziś dla nas zdarzeniem, emocjonującym, pobudzającym uczucia patryjotyczne, zapowiadającym jakieś wielkie zmiany, lub wywołującym specjalne nastroje, jak to było np. krótko przed wojną, ale jest zawsze niezastąpionym przewodnikiem dla naszego umysłu, informatorem, nauczycielem, źródłem wrażeń, niezastąpionym niczem pokarmem i kierownikiem życia umysłowego.

Z tych wszystkich względów, musimy, nietylko czytać sami, ale mówić o książkach i propagować je. Można zaręczyć, że, jeżeli kobieta da książce należne jej w swoim życiu umysłowe miejsce, jeżeli będzie o niej mówić ze swoją rodziną, domownikami i znajomymi, to w jej domu i w jej najbliższym otoczeniu

nie będzie książkowego analfabetyzmu. To nie jest znów takie trudne. Ludzie mają jednak pewne kulturalne ambicje, za analfabetów uchodzić nie lubią, więcej nawet, lubią mówić o przeczytanych książkach; chodzi tylko o to, aby ich do tego zachęcić, a wtedy wytwarzać się będzie coraz żywsze zainteresowanie, wyrabiać się będzie opinia o danej książce lub prądzie w literaturze. Niejeden leniwy coś przeczyta, niejeden pochłaniacz detektywnych sensacyj lub pustych romansidel przekona się, że warto poznać coś innego. Wszyscy odczuwają, że dobre książki są tak samo realnie potrzebne w życiu, jak odpoczynek i rozrywka.

Na terenie publicznym zaś dążyć należy do usprawnienia działalności czytelni i bibliotek. W Ame-

ryce czytelnictwo dlatego rozwija się tak wspaniale, że biblioteki *przychodzą* tam do ludzi. Istnieją czytelnie ruchome, które same dostarczają książek. Przywożą je robotnikom w pole i do fabryk, w czasie przerw obiadowych, stają z wózkami książek w godzinach, gdy pracownicy powracają z zajęć do domów; dostarczają wszelkich informacji, co czytać w każdym zakresie, gdzie znaleźć potrzebną książkę, autora i temat. Dają wszystkie wskazówki i ułatwienia. Z czasem dojdzie napewno do tego i u nas, trzeba jednak pracować nad tem, trzeba dać czytelnictwu miejsce, należne mu w życiu prywatnym i publicznym.

Nie wątpię, że Czytelniczki nasze zechcą zabrać głos w tej sprawie i dodać do niniejszego swoje uwagi, opinie i doświadczenia.

Natalja Jastrzębska.

WANDA GRABIŃSKA

OBROŃCY DZIECI PARYŻA

— A czy zdarzyły się w pańskiej praktyce, panie sędzio, typy ciężkie, prawie że nie do uleczenia?

— Naturalnie. To najczęściej dzieci upośledzone umysłowo, lub obarczone straszną spuścizną jakiegoś zbrojenia. Trzeba wtedy ten instynkt złego jak najbardziej stępić, unieszkodliwić. Pamiętam małego chłopaka, który zabijał wszystkie zwierzęta, jakie mu pod rękę wpadły: koty, króliki, ptaki... Był to typ zwyrodniały. Żadne metody lecznicze i wychowawcze nie zdołały w nim wytepić tego dzikiego instynktu. Po długiej pracy doszliśmy tylko do tego, że zabijał jedynie zwierzęta szkodliwe... Tępił więc w zakładzie myszy i szczury, w ogrodzie robaństwo... Na nich wyładowywał swą pasję.

— A czy wśród dziewcząt spotkał pan podobne wypadki?

— O wiele mniej. Zdarzają się jednak. Kiedyś matka przyprowadza do sądu dziewczynkę, skarżąc się, że to stworzenie teroryzuje całą rodzinę, ba! jest postrachem całej kamienicy. Wierzyć się temu nie chciało, patrząc na to dziecko jasnowłose, błękitnookie o porcelanowej buzi aniołka, że pod tą powłoką kryje się podobne usposobienie..

A matka odchyła bluzkę i pokazuje siniaki, zadane przez małą uderzeniami pięści i jedną ranę, już zagojoną, od uderzenia jakimś żelazem.

— Po nocach nie sypia, lamentuje, znika z domu na parę dni, przychodzi oberwana i zniszczona, ubrana dziwnie...

— Dlaczego ty się tak zachowujesz, czy wiesz do czego cię to doprowadzi?

— Wiem — odpowiada mi mała zdecydowanym głosem.

— Hm... tak... więc czemu ty chcesz być?

— Apaszka!

Cóż miałem robić? Oddałem kandydatkę na to oryginalne stanowisko do zamkniętego zakładu, o rygorze bardzo ścisłym. Przechodzili z nią męki i coś w parę tygodni dobiega mnie straszny alarm. Dziewczyna raniła ciężko siostrę zakonną nożem, ukradzionym w kuchni, i zbiegła... Żadne poszukiwania nie dały rezultatu.

— Ciężkie są takie przejścia... Czasem jednak zdarzy się coś, stanowiącego prawdziwą nagrodę za trudy. Kiedyś przyprowadzają do mnie chłopca, oskarżonego o włóczęgostwo. Blade, wynędzniałe, obdarto dziecko... W mizernej twarzy ogromne wymowne oczy, które uderzają mnie swoją inteligencją... Było coś w tym chłopcu, co od razu przykuło moją uwagę, mimo że przesuwiał się w szeregu innych zatrzymanych. Badam go dłużej.

— Gdzie mieszkasz, skąd uciekłeś?

Milczenie.

— Co tu robisz w Paryżu?

Milczenie.

I tak na dziesiątki pytań. Jeszcze chwila, a opuściłbym ręce i odłożył badanie. Ale przyszło mi do głowy użyć sposobu prawie niezawodnego dla takich typów zamkniętych. Pociągam chłopczynę do siebie, gładzę po głowie...

— Mój mały, cożeś się tak zaciął. Ja cię pytam jak ojciec! Ty odpowiedz jak ojcu, jak matce. Wszak masz matkę.

— Matkę...

Na dźwięk tego słowa twarz chłopca kurczy się konwulsyjnie. Wybucho nagłym, niepowstrzymanym, gorącym płaczem, opierając głowę na moim ramieniu.

— Maman... ou est Maman!?!...

Otóż i otworzyło się zziębnięte serce.

Dzieciak opowiadał mi wówczas, że pamięta matkę, ale nie może sobie uprzytomnić, jak się to stało, że się z nią rozstał. Wie tylko, że był potem ciągle u niedobrych ludzi, którzy go źle traktowali, że od nich uciekł i odtąd tułał się tak od wsi do wsi; od miasta i miasteczka... Pozatem nie wiedział o sobie nic... nawet nazwiska.

Umieściłem chłopca w zakładzie wychowawczym. Odwiedzałem go często, chcąc zbadać tajemnicę jego pochodzenia. Był zawsze bardzo smutny, płakał po nocach... Mówił przez sen o matce...

Byłem zrozpaczony. Wtedy to, któregoś dnia, gdy przyszedłem odwiedzić malca, zastałem go klęczącego przy łóżku i modlącego się żarliwie.

Przeczekałem chwilę i pytam się, o co się modlił do Boga.

— Tego pacierza nauczyła mię matka — rzekł mały. — Jest to jedyna rzecz po niej, którą dokładnie pamiętam... Tu każą mi się inaczej modlić, ale ja nie chcę...

Kazałem mu powtórzyć słowa tego pacierza. Było to westchnienie do Boga, ułożone dla małego chłopca przez kochającą, dobrą matkę.

Coś wzruszającego tkwiło w tych słowach prostych, a pełnych czaru, dostosowanych do duszy dziecka, a mających dotrzeć do tronu boskiego.

Wtedy uderzyła mię jedna myśl — jak błyskawica. Kazałem chłopcu podyktować sobie modlitwę,

słowo po słowie. A nazajutrz pobiegłem do redakcji. Dałem ogłoszenie do gazety. Zacytowałem tam połowę tego szczególnego pacierza, wyjaśniając, iż matka, która mi doniesie drugą jego część, może zgłosić się po swoje dziecko.

No, i co pani powie? W parę tygodni później otrzymuję list z dalszym ciągiem pacierza wraz z prośbą o odwiezienie chłopca.

Biedna matka, złożona niemocą, nie mogła po niego przyjechać...

Była to osoba inteligentna i zamożna. Parę lat temu skradziono jej małego synka... Były ślady porwania przez bandę cyganów, lecz żadne poszukiwania nie dały wyników. Biedna kobieta rozchorowała się ciężko na serce i wegetowała odtąd, oddając się bezsilnej rozpacz, że tam gdzieś, w świecie poniewiera się jej dziecko...

Może pani sobie wyobrazić, jak byłem szczęśliwy, mogąc zwrócić jej syna.

To była niezapomniana chwila, kiedy dziecko z rzewnym płaczem przytuliło się do tego matczyngo, chorego z rozpacz serca, odzyskanego tak cudownie.

— Proszę mi wierzyć, takie chwile wynagradzają wiele — kończył obrońca dzieci Paryża, mrużąc powiekami dla zatarcia widocznego wzruszenia.

— Ma się później siłę do wydzwignięcia stu nicponiów z ich własnej przewrotności i ciężkich opresyj i siłę... do życia.

MIECZYŚLAW LISIEWICZ

NA ZIEMI I NA NIEBIE

*Kiedy jesteś w powietrzu, żal mi serce ściska,
żeś ty za blisko nieba i, że może kiedy
zabłąkasz się i nigdy nie wrócisz na ziemię.
Jesteś nieobliczalny... a może ci będzie przyjemnie,
i pójdziesz sobie do nieba sam, sam, sam bezemnie..*

*Czekam, czekam, czekam — aż z świstem linek wrócisz;
zadudni glucho kadłub na twardem lotnisku.*

Zdejmiesz haubę... obetrzesz czoło... kombinezon zrzucisz...

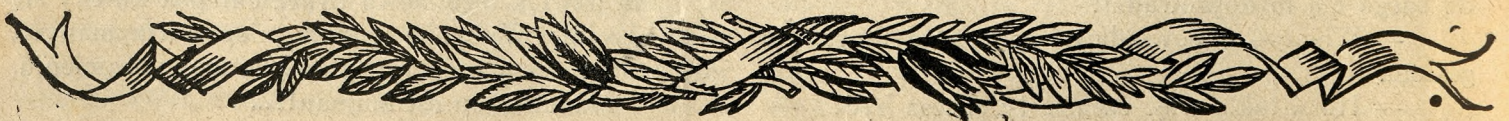
*Przeleczysz po mnie wzrokiem, schowasz okulary,
nie przywitasz się ze mną...*

bo nie lubisz, gdy długo czekam pod hangarem...

Gniewaj się... możesz... proszę...

Bowiem teraz

Tyś jest tylko na ziemi, a ja jestem w niebie...



KAZIMIERA MAZURKOWA.

4)

NIEUDANA SPRAWA

— Jabyam widział jedno wyjście: niech pani rzuci te wszystkie romantyzmy. Właśnie parę dni temu otrzymałem formalny rozwód, jestem zupełnie wolny i bez zobowiązań. Niech pani wyjdzie za mnie, no, i wtedy będziemy próbowali udowodnić tezę nierozzerwalności małżeństwa. Naprawdę, panno Agato. Toby było zupełnie rozsądne, zerwanie z mrzonkami, które ani komu pomogą, ani zaszkodzą, a pani nie dadzą chleba, ani sławy. Ludzie się podśmiewają z tego pani „Biura reperacji małżeństw“, i nawet z pani urodą nie wolno stawać się śmieszną, rozumie pani?

Agata stała, zamieniona w słup soli. Jej oczy, szeroko otwarte, starały się objąć sytuację, której umysł nie mógł zrozumieć w żaden sposób.

Ośmielony milczeniem, profesor podszedł ku niej, i starając się wziąć jej bezwładnie opuszczoną rękę, mówił:

— Więc od dziś zaczniemy życie trzeźwe, realne, praktyczne, a porzucimy dziecinne pomysły, które nam tylko przynoszą szkodę? Nieprawdaż?

To orzeźwiło Agatę. Z zimną dokładnością zebrała torebkę i rękawiczki z profesorskiego biurka i wyszła z pokoju, przesyłając mu z progu spojrzenie, które zdolne byłoby zmiażdżyć w proch najtwardszą skałę.

V.

Jaśminy okwitały na pochyłym stoku wiaduktu i pogoda trzymała się wciąż cudowna. Agata, podlegająca od pewnego czasu szalonej depresji, siedziała z książką na barjerce, otaczającej plantacje miejskie na ślimaku i wdychała poziomkowy zapach kwitnących krzaków. Książkę trzymała, wprawdzie, założoną palcem na czytanej stronicy, ale otworzyć jej nie miała wcale ochoty. Starala się nie myśleć o niczem, a głównie o swoich ostatnich kłopotach, natury tak moralnej, jak i finansowej. Rozczarowań przeżyła całe mnóstwo, ale żadne nie było tak dotkliwe, jak ostatnie, z przed paru tygodni. Wszystkie zasymilowały się powoli, wsiąkły w codzienność i stały się rzeczą oczywistą. To jedno tylko przyswajało się bardzo trudno.

Lekki wiatr musnął znów twarz Agaty i przyniósł silniejszy zapach jaśminu. Odwróciła głowę ku prądowi woni, aby się nią napoić dosyta, i zobaczyła Karola Lempke, który szedł ku przystani. Ubrany był biało, a twarz miał tak ciemną, jak orzechowe drzewo. Zobaczywszy Agatę, przyspieszył kroku. Myślała jakoś, że ją ominie, ale on, przeciwnie, szybko podszedł do niej. Przywitali się w zupełnym milczeniu i Agata stwierdziła w sobie pewien cień urazy, widząc go zupełnie normalnym i dobrze wyglądającym.

— Idę na łódkę! — objaśnił ją niewiadomo poco. — A pani czyta?

— Tak, czytam! — pokazała mu tytuł książki. — I cieszę się jaśminami.

Oboje czuli się nieswojo, unikając rozmowy o jedynie możliwym przedmiocie, którym była Mina. Ale imię jej nie chciało im przejść przez usta.

— Kiedyś wyraziła pani chęć wycieczki łodzią — powiedział wreszcie Karol. — Czy nie zechciałaby się pani przejechać, na przykład, dzisiaj? Pogoda taka piękna!

Agata zgodziła się odrazu.

Zeszli ku przystani i wkrótce odbili od pomostu. Na wodzie było chłodniej, ale tak rzeźwo i słonecznie, że chcieli się płynąć jaknajdłużej.

Karol zupełnie pochłonięty był żaglem, sterem i mijającymi ich łodziami.

— Pojedziemy do Suchych Trawek? — zapytał wreszcie.

— Dobrze — odpowiedziała z roztargnieniem, patrząc na parę białych czajek, zakreślających szerokie koła nad wodą.

Teraz już, kiedy minęli wszystkie plaże i ostatnie domki podmiejskie, zaczęły uciekać od brzegów i na wodzie zrobiło się prawie pusto, można było swobodnie rozmawiać. Ale im nie kleiła się jakoś wymiana zdań. Szczególnie Agata trzymała się odpornie i zbywała krótkimi odpowiedziami wszelkie usiłowania pana Karola.

Przyglądała się tylko z pod oka jego ruchom śmiałym i mocnym, jego umiejętności żeglowania, z którą sama była dobrze obeznana, i powoli uraza topniała, a rodził się podziw.

Unikała jednak jego spojrzenia, zachowując lekką sztywność i oficjalność, której nie umiała sobie wytlumaczyć inaczej, jak pretensją o niezastosowanie się do jej programu w układach z Miną. Pan Karol zato w niczem nie okazywał przymusu. Widząc stanowisko Agaty, przestał się nią zajmować i wkrótce przyjemność ulubionego sportu tak go pochłonięła, że zapomniał bodaj o jej obecności. Wtedy dopiero pomyślała, że niezbyt grzecznie odwdzięcza mu się za wycieczkę i chciała naprawić błąd.

— Panie Karolu — odezwała się — czy pan często bywa w tych Trawkach?

— Ostatni raz byłem tu wczesną wiosną, tego dnia, pamięta pani, co to Mina się spóźniła — odparł dość szorstko.

I nagle Agata poczuła się czemś ogromnie winna. Ten szorstki ton napełnił ją żalem i skruczą.

— Panie Karolu — powiedziała ciszej — żałuję bardzo, że nie mogłam pogodzić was z Miną.

Milczał przez chwilę, a potem rzucił tym samym twardym głosem:

— Tak, to była pani wina!

Teraz Agata starała się pochwycić spojrzenie jego dużych niebieskich oczu, które wydawały się znacznie ciemniejsze w opalonej twarzy. Ale pan Karol zajął się żaglem i skierował łódź ku brzegowi.

— To już Suche Trawki? — zapytała.

— Wszystko jedno! — powiedział tonem, nie znoszącym sprzeciwu.

Przywiązał łódź do krzywej wierzby, rosnącej na wiślanym wale, wziął ją pod rękę i wprowadził na tamę.

— To była pani wina! — mówił, sadzając ją prawie na trawie. — Nie trzeba było przychodzić do nas, ani interesować się mną, ani być taką bardzo inną, niż Mina. Pamięta pani, jak mnie pani wzięła raz w obronę przed Miną? Od tego czasu zaczęło się wszystko.

— Ale jakto?... jakto?... — jąkała się wystraszona Agata, usiłując zrozumieć.

— Takto, że teraz musi pani naprawić, co pani zepsuła. Przez panią rozeszliśmy się z Miną. Musi pani mi ją zastąpić i to lepiej, niż ona sama mogłaby to zrobić. Rozumie pani? Sama wzięła pani na siebie ten obowiązek, chcąc zreperować nasze szczęście. Mina znalazła swoje z panem Święborskim, za którego wychodzi w lecie, a ja szukam go u mojej Aty, mojej Atuśki...

Trzymał ją za ręce i musiała patrzeć na niego. Stanowczo nie poznawała cichego męża Miny, który w salonie prawie się nie odzywał. Teraz mówił do niej tak, jak mężczyzna powinien mówić do kobiety, choćby była Agatą, starą panną.

— Boże, zmiłuj się — myślała zdumiona — niedawno Miklas, teraz on!... Nie mogę, nie mogę! To brak logiki... Gdzież moje posłannictwo, moja reperacja małżeństw? Czyż tak naprawia się małżeństwa?

Zaraz muszę zdobyć się na odwagę i surowo zgromić Karola.

Ale nie mogła zdobyć się na odwagę. Słowa, które tak łatwo płynęły zwykle z jej ust, leniwie uciekały ze świadomości pod wpływem niebieskich oczu, patrzących na nią pilnie.

— Dobrze, prawda? — zapytał.

Potrząsnęła głową.

— Pan chyba zapomniał o mojem biurze. Nie mam na celu rozwodzenia mężów, aby się za nich wydawać. Przytem jestem z gruntu przeciwna rozwodowi, jak panu wiadomo.

— Ja również! — oświadczył. — Dlatego nie chciałem rozwodzić się z Miną, choć należało to uczynić w dwa dni po ślubie. Ale skoro ona sama zaczęła? Zresztą z panią napewno się nie rozwiodę, i to będzie metoda pogładowa, znacznie lepsza od wszelkich biur.

Patrzyła na niego niezdecydowanie.

Uśmiechnął się prześliczną jaśnią białych zębów i przyciągnął ją do siebie.

— A moje biuro? — zapytała.

— Już wielka pora je zlikwidować — postanowił prędko — zresztą mówię pani, że znacznie więcej małżeństw zreperuje nasz przykład, niż pani najgorętsza propaganda. Przytem o małżeństwie nie można mówić, jak ślepy o kolorach. Trzeba samej spróbować, jak to w niem różnie bywa.

Na Wiśle zachód rozlewał mieniące się złoto, a czajki miały skrzydła malowane różaną jasnością. Między wierzby promienie wisiały, jak smugi pyłu, i włosy Agaty świeciły aureolą z pod białego kapelusza. Naokoło niej wysokie trawy kwitły i pachniały, a w powietrzu zbliżało się ciche upojenie letniego wieczoru. Nie starała się przeniknąć myślą wszystkiego, co się stało w niej i poza nią. Czuła, że było to niezupełnie tak, jak wymagała logika jej dotychczasowych przekonań, ale jednocześnie działało się właśnie tak, jak potrzeba.

LUCYNA KRZEMIENIECKA

GÓRY I LUDZIE

Jeszcze jeden rumor, zgrzyt, obrót kół pociągowych. Przystanek — Wisła.

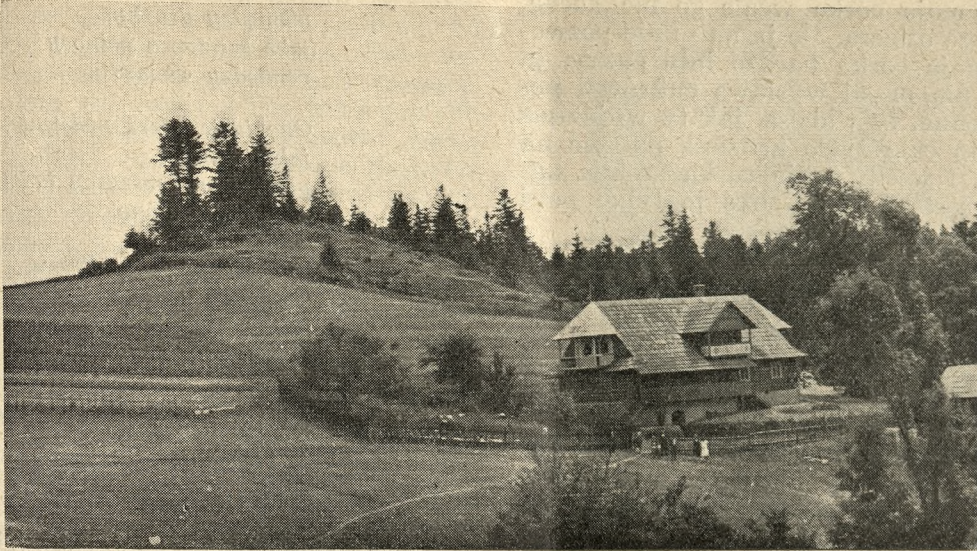
Tu chyba granica baśni: spiętrzone zielone łańcuchy Beskidów, jodły na urwistych szczytach, które obrały sobie niebo za przystań.

Nagle żal, jak wiatr, szarpnął myślami: Czy to możliwe? Ten śmieszny, duszny kąć pokoju, zostawiony w Warszawie, to brudne podwórko, te niedomyte okna, z których w tej chwili może wysuwają się osowiałe twarze ludzi, spragnionych powietrza?

Trzeba jednak wysiadać, zając się rzeczami, wyszukać mieszkanie. Zaraz za stacją: obrzydliwość!

Zgrzyt, szum, turkot — znowu? — motocykle i wozy. Nie, za nie! W góry — wyżej i jak najdalej? Nie dajmy się zagarnąć gwarnemu pensjonatowi z szumną nazwą, elektrycznością i utytułowanymi gośćmi!

Po długim namyśle autobus rusza. Kończą się motocykle i wozy. Jedziemy serpentyną. Srebro i czerwień, szmaragdy i błękit — to strumienie, kaliny, lasy i niebo. Na odległej zielonej polanie stoją wysmukłe sarny. Schronisko turystyczne na wysokości 775 metrów. Tu będzie dobrze. Świerkowe pokoje pachną świeżością lasu. Za oknami, na górze Kozinca wiatr ostrożnie porusza jodłami. Źródłana wo-



Schronisko w Kozinicach.

da zlewa pieszczotliwym strumieniem zmęczoną podróżą skórę. Zasyfia się błogo na małej, powleczonej wzorzystym kretonem poduszeczce, na twardym sieniaku, w nowym powietrzu ze świadomością zielonej bajki za oknem.

Wstaje się rano, raniuteńko, po rosie. Wąwóz górski. Ścieżka nierówna, skalista, zbocza strome, pokryte jagodzinnami, na których błyszczą operlone rosą dojrzałe, wielkie jagody. Można bez trudu zbierać całe garście. Smakują cudownie. Wszystko tu zachwyca. I wążiuteńka struga leśna, co koło drogi nieprzerwanie odbywa swoją wędrówkę po ostrych kamieniach, i wielkie paprocie, i dymy osmalonych drzew, podnoszące się majestatycznie z dolin ku górze, i mała, plamista jaszczurka, czarna w cytrynowe plamki, która przybiegła z nad źródła, jakby na powitanie, i niewiarogodnie wielkie, kraśne czapki muchomorów, i tajemnicze zwaliska kamieni, z pośród których wystają obficie ostrężyny, i wreszcie gęsi i kury, które w tym pięknym kraju bez trudu schodzą z góry na dół do trawiastych przepaści.

Trzeba jednak wracać na śniadanie.

Znęcona miłym zapachem kawy wchodzę do kuchni. Jest tam matka, smarująca chleb bryndzą, jest siostra, która gotuje mleko i ogorzały brat z niebieskimi oczami, który wrócił właśnie z grzybobrańia i wyklada na stół piękne okazy borowików i siniaków. U pułapu wiszą grzybowe wianki, na ścianach makatki z białego płótna, szyte prostym ścięciem czerwonymi i niebieskimi niemi, przedstawiają najgłówniejsze zasady życia. Jedna z nich twierdzi: „Pamiętaj, żeś Polka, bądź dobrą małżonką“, pod tem wyhaftowana niebieska dziewczynka w chodaczkach i czepcu. Dziewczynka karmi kury. Na drugiej narzutce czerwony napis głosi: „Miłość i zgoda, w domu ozdoba“. Pod tem chłopczyk z taczka i dziewczynka tuląca prosiątko.

— Jakżeż się paniczka wyspała? — pyta troskliwie gospodyni.

Uśmiecham się do niej serdecznie i myślę, że zupełnie niepotrzebnie obawiałam się tak samotnej podróży. Przecież wszędzie są ludzie.

Tymczasem gospodyni zwraca się do syna:

— Pawliczek, skocz ino ze śniadaniem, chacharze jeden, widzisz, że paniczka czeka.

Ogorzały syn podaje śniadanie i prowadzi mnie do izby jadalnej. Tam, przy długim stole siedzą już przy kawie inni, przygodni goście. To ludzie z drugiego świata. Po pewnym czasie orientuję się w tem środowisku. Jest tam ubrylantowana dama z folwarkiem i z córką na wydaniu, jest smutny buchalter, marzący o podróży do Indyj, żywy „Kasjer Śpiewankiewicz“. Jest panna motocyklistka, której głównym motorem życia zdaje się być właśnie motor jej motocyklu. Są wreszcie trzy panny urzędniczki, które stanowią dumną tajemniczą trójkę i nie dopuszczają do siebie żadnych wpływów obcych.

Na deser następuje rozmowa. Dama z folwarkiem wymawia „r“ z francuska i co chwila zwraca się do córki: „prawda Wańdziu, jaka dobra kawa, zupełnie, jak u nas w Orzeszu“. Blondynkowata Wańdzia kiwa w odpowiedzi główką i zwraca oczy w stronę sąsiada. Sąsiad (ten smutny Śpiewankiewicz) podchwytuje słowo „Orzesze“, potem prędko mówi: „Gdańsk“ i jeszcze prędzej wykrzykuje: „Indje“. Daje upust swojej fantazji. Opowiada o tem, że był kiedyś w dżunglach, pokazuje nawet nieznaczną bliznę na prawym palcu, która rzekomo jest śladem tygrysiego pazura. Jak okazało się później, było to zwykłe zadrażnienie od scyzoryka.

— Tam jest kraj, tam są drogi — krzyczy w zapale smutny buchalter.

Motocyklista podchwytuje słowo: „droga“ i rozpoczyna bogatą odmianę: droga, drodze, na drodze, motocykl. Już jest w swoim żywiole, unosi się nad swemi triumfami sportowemi. Dumna trójka urzędniczek opuszcza izbę.

Siedzę cichutko, zdobywam sobie zaufanie damy z folwarkiem. Idziemy na spacer, niema rady. Słońce grzeje już dość mocno. Na wysokiej górskiej łące znajdujemy przytulną ławeczkę. Widać stąd wszystkie szczyty dookoła. A więc Czantorję, Stożek i inne. Koło nas pachną koniczyny i macierzanki, gdzieniegdzie otwierają się do słońca srebrzyste osty górskie. Dama wypowiada utarte zdanie na pochwałę przyrody i wraca z uwielbieniem do swoich osobistych szczęść i nieszczęść. Szczęście — to bogaty mąż córki.

— Wie pani, moja córka wcale go nie kocha, ona kochała pięknego oficera, ale ja na to nie pozwoliłam. Wie pani, moja córka bardzo lubi cukry, ja kiedyś stanęłam z nią przed wystawą cukrów i powiedziałam jej: Zochna, ty widzisz, jak ty wyjdiesz za twego oficera, to całe życie będziesz patrzeć na cukry przez szybę, i wtedy moja córka zrobiła karierę. Moja córka jest piękna, żebyś ją tylko pani widziała — pyszniła się dama.

— A czy jest szczęśliwa? — pytam cichutko.

— No, taka bogata, moja pani — bezapelacyjnie tłumaczy dama i pośpiesznie przechodzi do swego nieszczęścia.

Nieszczęściem damy, to — nieślubna dziewczynka, która „wydarzyła” się jej dobremu synowi z biedną robotnicą.

— I wyobraź sobie pani, że ona ją nazwała Lidja, taka bezczelna dziewczucha! Lidja, wyobraź sobie pani! Mój syn nie jest winien. Ta dziewczyna przyszła do mnie, to ja jej powiedziałam, że gdybym była pewna, że to mego syna, tobym wzięła tego dzieciaka na wychowanie. Naturalnie, że dałabym ją do kuchni, niechby szorowała garnki.

Biedna, maleńka Lidjo, jakie szczęście, że cię ta dobra pani do siebie nie wzięła!

Dama staje się rzeczywiście ciemną plamą na tem jasnym tle różowiejących koniczyń. Trzeba uciekać od niej wyżej, wyżej, aby dalej.

Po drodze, na zrąbanym pnieniu siedzi mała dziewczynka, lniana, strasznie pstrokato ubrana. Dziecko kołysze tkliwie zwiniętą poduszkę. W poduszce niema lalki, ale zato w oczach dziecka jest niebo.

— Jak się nazywasz? — pytam.

— Juska — powiada dziecko i ucieka zawstydzone.

Idę na pastwisko. Na stromym pastwisku górskim, między zielenią świerków i seledynem modrzewi, chodzą z łatwością ciężkie krowy. Pastuszka z oależnią w ręku ugania się za niemi i nawołuje co chwila po imieniu: „Bobela, Danela, Brzezula, Princessa, Kwiatula, Malina, Jagoda, Różana”. Pastuszka zmęczyła się nawoływaniem, kucnęła sobie i przyspiewuje:

*Ej, ty ptaszku, krogulaszku,
co w górze lataasz,
powiedz mi nowineczkę,
jaką tam słuchasz.*

*— Powiem ja ci nowineczkę
niebardzo dobrą,
że już Twoją najmilejszą
do ślubu wiodą.*

*Dwaj ją wiodą, dwaj jej grają,
piątemu jej żal,
szóstemu się serce kraje,
że jej nie dostał.*

*A ten siódmy na koniczku
szablczką toczy,
a ten ósmy w okieneczku
ociera oczy.*

*A dziewiąty obiecuje
pojechać za nią,
żeby jeszcze raz zobaczyć
tą młodą panią.*

*Ona idzie przez podsienie
pomiędzy družby,
jako księżyc o północy
pomiędzy gwiazdy.*

*Ona idzie przez podsienie,
jakby lelija,
patrzają się wszyscy ludzie,
jaka jest szumna.*

*Ona klęczy przy ołtarzu
między druchnami,
jak ta najpiękniejsza róża
między kwiatami.*

*A on klęczy przy ołtarzu
między družbami,
ja kten najczarniejszy gawron
między wronami.*

Przysiadam się do pastuszki. Kilka prostych zdań i przymierze zawarte. Jewka śpiewa dalej:

*Na Kalwaryi, na długim moście
wróc dziewczeczko, masz w domu goście.
Co to za goście w tej kamienicy
grają na skrzypkach i na gajdycy.
W tej kamienicy biały koń stoi,
już się dziewczeczka do ślubu stroi.
Na ślub jechała, bardzo płakała,
zielone wstążki z głowy targała. —
Ej moje wstążki zieloneście są
moje oczyska zapłakane są.
Ej moje wstążki zieloneście są,
Moje oczyska rozmeselcie się.
Ciężki, oj ciężki ten kamień młyński
jeszcze cięższy ten stan małżeński.
Bo kamień młyński we wodzie tonie,
a stan małżeński nigdy nie zginie.*

Wiele jeszcze innych pieśni nauczyłam się od Jewki.

Jewka miała 30 lat i była artystką. Pięknie śpiewała (umiała podobno 155 pieśni kościelnych), pięknie haftowała, a w wolnych chwilach czytywała krajoznawcze i pobożne książki o kościołach i cu-



Wisła w Malince

downych obrazach świętych. Mimo to, a może właśnie dlatego, nie miała szczęścia i nie była wydana, co przyczyniało wielkie zmartwienie rodzinie. Była samotna, jak te modrzewie na szczytach gór rosnące. Od niej dowiedziałam się treści kilku miejscowych powiastek. Od niej dowiedziałam się o istnieniu „Imka Wiselki”. „Imko Wiselka”, rodzaj Robinsona Beskidzkiego. Książeczka z przed 50-ciu lat, opowiedziana przez Bogumiła Hoffa. Wystarałam się później o nią, lecz z wielką trudnością, bo w całej Wiśle są zaledwie dwa egzemplarze. Książeczka jest dość ciekawa, chociaż zawiera strasznie śmieszne, staroświeckie zdania w rodzaju: „Imko kornie przytulił usta do ręki zacnego starca, a z oczu jego płynęły rzęsiste łzy” — lub: „Dzieweczka, spoglądając na szlachetnego młodzieńca, splonęła rumieńcem”.

A więc, mówiąc tym stylem, pewnego, pięknego poranku, opuszczam Wisłę.

Ostatni raz góry zapalają fajkę pokoju — to mgły. Znow pociągi i czarne, świszczące koła. A tam gdzieś, na dalekich górskich ścieżkach zostało tyle ważnego!

Jeszcze raz, jeszcze raz; to pociąg rusza.

Jeszcze raz, to tłucze się w piersi śmieszne i małeńkie — serce.

Jedziemy. Noc w pociągu. Jaskrawe, żółte światło lamp.

Dwie drewniane ławki, pomiędzy nimi tylko wąska przestrzeń, a jednak? Jedna, to ławka samotnych, druga, to ławka szczęśliwych. Na jednej, naprzeciwko mnie siedzi młodziutkie małżeństwo. On — trzydziestoletni, ładny, na stanowisku; ona — uśmiechnięta, osiemnastoletnia blondyneczka. On otacza ją czule ramieniem, namawia do drzemki. Widać odrazu — szczęście i miłość. Tak. A koło mnie siedzi smutny, stary człowiek w grubym, czarnym, niemodnym



Wisła. — Willa „Bukowa”.

palcie. Człowiek uporczywie spogląda na młodą parę. Wzdycha ciężko, wreszcie zaczyna bezgłośnie łkać.

— Co panu? — pytam człowieka — co panu?

Zwraca ku mnie z wdzięcznością swoją postarzałą, umęczoną twarz. Opowiada. No, naturalnie: tydzień temu żona, z którą przeżył 20 lat, uciekła z innym. I co najgorsze, to te puste, głuche ściany, tam, w jego domu, co wieczór, gdy wraca z pracy.

Słucham, próbuję odpowiadać, mówię coś o losie, o tych dwóch ławkach w życiu i o tem, że jednak jedziemy wszyscy w tę samą stronę. Człowiek kiwa głową, próbuje się uśmiechnąć i wiem, że nie może, że niema lekarstwa dla niego.

Jedziemy. Wiatr wyje za oknami. Na szybach ukazują się grube, deszczowe łzy.

HANKA KŁOSIŃSKA

CZEM SIĘ ENTUZJAZMUJE KOBIETA?

Zależy jaka kobieta: są różne, i każda szczyli się tem, że jest do innych niepodobna, a podobno zawsze jest taka, jaką ją chce mieć kochany mężczyzna. Tak słyszałam. I racja.

Są kobiety, a jakże — jest ich aż za dużo, ale nie o to chodzi — są kobiety, które się nazywają stosownie do swej wartości: kobieta, kobietka, człowiek lub lalka.

Prawdziwa kobieta istnieje, żyje, entuzjazmuje się — miłością. Jeśli co czyni, to przez miłość, jeśli co kocha, to przez niego i dla niego, jeśli w co wierzy, to w miłość! Treścią jej duszy jest: On! Poza nim jest pustka.

Przeznaczeniem kobiety jest kochać i jeszcze raz kochać! Miłość to motor jej życia, jego wartość, kompasowa igła. Prawdziwa kobieta nie jest nigdy „niczyja” i nigdy nie jest zakochana, ona kocha! I tem się entuzjazmuje. Ustawicznie szlifuje w swych myślach jeden brylant — serce.

Ale powiedzieli życzliwi czy złośliwi, że nawet najidealniejsza kobieta lubi złoto i brylanty, możliwe,

więcej nawet: lubi słońce, kwitnące wiśnie, wiosnę, bo miłość sama w sobie jest czasem nudna i trzeba jej stwarzać odpowiednie, romantyczne tło; bo kobieta entuzjazmuje się jeszcze i poezją. Taką śliczną, sentymentalną, czystą jak krynica poezją, w której jest dużo słów pieśzotliwych i cichych, niby wyznanie miłosne. Kobieta jest rada życiu, kocha życie samo w sobie, i każdym swoim uśmiechem chwali życie, i każdym swoim spojrzeniem śpiewa pieśń entuzjastyczną, pieśń miłosną na cześć Życia!

Czyli, streszczając: prawdziwa kobieta entuzjazmuje się miłością, kwiatami, poezją i życiem. Na dnię duszy ma jeszcze jeden utajony entuzjazm dla szcerości. Jest beznadziejnie, chorobliwie szczera i podaje ludziom swe serce na dłoni. To ją zawodzi. Ponosi klęskę na całej linii i wtedy entuzjazmuje się doznaną krzywdą, ale mogę zapewnić, że jest to bardzo gorzki entuzjazm.

Kobietka — spotykasz ją z wiosną na ulicy załotną, strojną, opartą na męskim ramieniu. W lecie jest gdzieś w modnym uzdrowisku, w zimie na ba-



Prawdziwa kobieta entuzjazmuje się kwiatami.

lach. Zawsze urocza, czujna, zazdrosna o siebie, zawsze na posterunku, gotowa do ataku i nigdy sama. Zawsze z męską eskortą. Jest przysłowiowym sfinksem i zagadką, żyjącym kaprysem, fantazją, obietnicą, nigdy niespełnioną.

Śmiem twierdzić, że najwięcej entuzjazmuje się sobą samą. Swoją urodą, sukienkami, futrem, pierścionkiem i pieniędzmi.

Peniędzmi przede wszystkim i nadewszystko! Dla pieniędzy gotowaby zostać szatanem. Całą siebie przelicza na dolary, taksuje wszystko, co ją otacza i co jej dają. Bierze i liczy. Życie jej jest kalkulacją rachunkową, obliczoną na zysk. Entuzjazmuje się wygraną! Uwielbia jeszcze modny taniec, modną muzykę, modną linję, wiosenny kapelusz, pudry Coty'ego, suknie od Hersego i tysiące innych rzeczy, które, razem wzięte, składają się na tak zwane przez szanujących się ludzi pojęcie motylej moralności.

Tem jednak, co ją najwięcej entuzjazmuje, zachwyca, co jest niejako esencją jej życia, impulsem wszystkich poczynań, to flirt. Jego kłamliwą sztuką entuzjazmuje się, jak żadną, lubuje się w niej, żyje tą złudą miłosną, jak kwiat cieplarniany. Serce jednak leży poza granicami jej entuzjazmu.

A teraz ta, która dzisiaj równouprawniona, zwycięska i silna podbija świat, kobieta-człowiek, kobieta-obywatel i społeczniczka. Taka pono jest największą entuzjastką. Wnosi w pracę, w życie, we wszystkie dziedziny umysłowe, jakby prąd świeżego powietrza; jest jak zimny, zdrowy tusz, jak odrodzcy deszcz i wnosi z sobą jedno, co już mężczyzna w ciągłej walce o byt zatracił — szczerą entuzjazm,

tak wzniosły, że nieomal graniczący z dziecinnym zachwyceniem. Wnosi więc z sobą prawdziwą i istotną wartość.

Najczęściej spotykany typ kobiety-człowieka, to kobieta pracująca na życie, samodzielna, trzeźwa, umęczona. Taka entuzjazmuje się swoją pracą biurową, lekarską czy adwokacką; czasem zajmuje niższe pozycje w ogólnym ustroju, na przykład: jest szwaczką, modelką czy kwiaciarką, ale tu nie chodzi o pozycję społeczną czy zawód, każda taka, która nie jest pasorzytem, ma prawo do imienia człowieka. Każdą ludzi darzą szacunkiem, jaki się należy rzetelnej pracy. Ten szacunek ludzki przekracza czasem ramy jej entuzjastycznej radości, graniczy już z uszczęśliwieniem.

Kobieta-człowiek entuzjazmuje się zawsze każdym pierwszym miesiącem, a raczej wypłacaną w tym dniu pensją. Nie dla pieniędzy, broń Boże, tylko dla tysiąca tych większych i mniejszych drobniaków, które za te pieniądze można kupić. Za swoje własne pieniądze! Nawet najchłodniejsza, najbardziej trzeźwa przeobraża się w entuzjastkę z chwilą, gdy schowa do torebki swoją pierwszą pensję. Och, jak wtedy bije serce! Te pierwsze pieniądze to właściwie tylko forma, nie treść. Treść jest głębsza. Treść znaczy: wolność, równouprawnienie, prawo walki o byt, prawo wolnego



Kobietka.



Entuzjastka pracy.

człowieka, wiek służebnictwa odrzucony, jak zdarty, przeniecony lachman.

Tylko dusza kobiety-człowieka jest natchniona w swym entuzjazmie i jej entuzjazm jest zawsze twórczy. Kobiety artystki, kobiety utalentowane posiadają jeszcze w wyższym stopniu ten entuzjazm twórczy i oddychają nim, jak powietrzem. Jedne entuzjazmuje książka; poezja, wszystko, co pospolicie nazywa się literaturą; drugie malarstwo, a z niem te wszystkie witraże, przedziwne akwarele, pejzaże kwitnące, które Bóg wymalował. Takie żyją w świecie, jak w kalejdoskopie, chłonąc tylko zjawiska i barwy.

Są jeszcze inne, zakochane w rzeźbie, w niepokalanej bieli starych posągów; są takie, co na życie całe poświęcone zostały muzyce.

I te i tamte urzeka i entuzjazmuje piękno.

Niektóre żyją w pieśni i w muzyce, jak w wiecznie szumiącej konsze perłowej, oddane dźwiękom i zachwycone jednak mazurkiem Chopina, jak i górskim echem. Ich serca, to najczulszy detektor, przedziwny kryształek, stacja radiowa, chłonna z wszechświata jakieś dzwonne, wielomówne cuda-fale!

Niektóre kochają się w żywym słowie, te porywa piękno mówionego wiersza, odżyła w żywej mowie romanca o tych, co dawno odeszli. Nikt nigdy nie sły-

szal, by mężczyzna włożył tyle duszy i odczucia w czytany utwór, co kobieta.

Doprawdy, entuzjastką jest tylko kobieta, bo na swoją chwałę stworzył ją największy entuzjasta — Życie!

Kobieta jest pono zagadką, której nikt nie rozwiązał, tak trudno w niej odróżnić prawdę od fałszu. Bywa kłamana miłość, bywa i kłamany entuzjazm dla piękna i dobra. Są kobiety, które się kształcą, uczą, uzyskują dyplomy, nagrody literackie, wygrywają rekordy poto, by się podobać. Ale i takie są ludźmi.

Niektóre entuzjazmuje teatr, niektóre, i to częściej, film. Marzenia dzisiejszych dziewcząt pełne są zapachu kalifornijskich kwiatów, awantur romantycznych i sławy; śnią z otwartymi oczyma o Hollywood. Stara bajka o Kopciuszku ulega, jak wszystko, modernizacji: Kopciuszek nie chce być księżniczką, tylko Gretą Garbo. (d. c. n.)

Z ŻYCIA EKRANU

Baśniowe filmy Starewicza.

Od czasu, gdy filmy polskie nietylko nie przynoszą nam wstydu, lecz znajdują uznanie nawet za granicą („Z dnia na dzień” — w Paryżu), każdy przeciętny widz kinowy uważa za stosowne interesować się nimi. Natomiast rzadko kto z czytających życiorysy rodzimych „gwiazd” i amantów filmowych wie o istnieniu Władysława Starewicza, który wtedy, gdy o polskich filmach jeszcze się nikomu nie śniło, stworzył nowy, a jedyny w swoim rodzaju „genre” kinowy, zyskując sławę nawet w Ameryce, która europejską twórczość filmową przyjmuje z wieloma zastrzeżeniami.

Sztuka Starewicza, zwana niesłusznie „filmem mechanicznym”, jest właśnie stuprocentową sztuką, a jej twórca — szcze-



Zaczarowany las.



Czarodziejska karetka.

rym artystą. Starewicz wyszedł ze słusznego założenia, że kino, bardziej niż każda inna sztuka, nadaje się do ożywienia świata baśni, świata irracjonalnego, który jest tak bliskim wyobraźni dziecka, a dla człowieka dorosłego ginie bezpowrotnie w mglistych wspomnieniach dzieciństwa. Dziwne stwory, przyjazne człowiekowi lub usposobione dlań złośliwie, zamieszkujące lasy, wody i góry; królowny, nurki i rycerze — wszystko to zaludnia ekran Starewicza, żyjąc życiem tak realnym, jakgdyby w te wszystkie martwe figurki tchnięto żywe, bijące serca. Dla Starewicza drobnostką jest sprawić swej królownie orszak ze stokrotek, które wyrastając jej pod stopami, wskazują drogę, lub ze swych koron tworzą lektykę, aby przenieść ją przez niebezpieczne miejsce. Drzewa w lesie mają twarze — przyjazne lub straszne — umieją wabić, wołać, i wciągać istotę ludzką w obcy sobie świat, w którym, bez pomocy dobrych duchów, skazana by była na zagładę. Te złe i dobre duchy, przypominające chwilami fantastyczne postacie Słowackiego, skomponowane są z plastyką wyrazu i gestu, świadcząca nie tylko o bogactwie wyobraźni ich twórcy, lecz o jego talencie plastycznej charakterystyki.

Warsztatem pracy Starewicza nie jest żadna światowa wytwórnia, lecz poprostu... duży stół, który artysta dzięki swemu talentowi, umie przetworzyć w najfantastyczniejszy krajobraz, zaludnić najdziwniejszymi stworami, zainscenizować na tym terenie porywającą akcję i przenieść ją na ekran. Sam wycina figurki swych aktorów, sam buduje i maluje dekoracje, sam jest twórcą maleńkich jupiterów, przystosowanych do rozmiarów tego miniaturowego atelier, sam pisze scenariusze, sam puszcza w ruch aktorów; sam jest reżyserem, operatorem, laborantem i eksploatatorem swych filmów. Jest w tej pracy tak rozmiłowany, że pracownia w jego willi pod Paryżem jest dlań całym światem. Jediną jego pomocnicą była dotychczas jego córeczka (dziś dorosła) — jedyna „żywa“ aktorka wśród mechanicznej trupy.

Technika zdjęć w filmach Starewicza jest taka sama, jak w filmach rysunkowych, t. j. dla oddania jednego gestu trzeba zrobić kilkadziesiąt zdjęć w różnych stadiach ruchu. W tym celu wszystkie figurki mają ruchome kończyny, które się odpowiednio nastawia i z kolejności tych „nastawień“ — stwarza właściwy gest. Nietrudno sobie wyobrazić, wiele praca ta wy-

maga precyzji i cierpliwości. To też przy największym wysiłku nie można nakręcić więcej, niż 7 metrów taśmy dziennie.

Starewicz oddaje się tej mrówczej pracy, czelując szczególnie, niby dawni mistrze-złotnicy, i nie troszcząc się o to, że żyje w epoce, w której „czas to pieniądz“. Dlatego też filmów jego jest stosunkowo niewiele. U nas są one nie tylko rzadkością, ale, niestety, przechodzą bez echa, jako dodatki nadprogramowe, pomimo to, iż często stoją o wiele wyżej od obrazu, stanowiącego główną część programu. Wpływa na to bezwzględnie krytyka, która jakoś dotychczas nie zwracała uwagi publiczności na walory filmów Starewicza, oraz — brak reklamy nie znajdującej tu pola do użycia ulubionych zwrotów o „szalach“, „zmysłach“, „erotyzmach“, „grzechach“ i t. p., jakimi przyciąga publiczność na inne filmy, do których zawsze tego rodzaju „magnes“ da się jakoś łatwiej doczepić.

Dziwnym wydać się może fakt, że starając się narzucić zagranicy — jako polskie arcydzieła — filmy co najwyżej poprawne, zapominamy, że w Starewiczu mamy na Zachodzie prawdziwego reprezentanta naszego zmysłu twórczego w dziedzinie kinematografii i nie tylko nie jesteśmy z niego dumni, ale sami niewiele o nim wiemy. Na szczęście Starewicz, syn powstańca, rozpoczynając swą działalność w Moskwie (w wytwórni Chaniankowa, sławnej już przed wojną, gdzie inscenizował bajkę „Konik polny i mrówka“) i bez naszego udziału znalazł uznanie w świecie.

Po przewrocie w Rosji, wyemigrował do Paryża i tam — w najgorszych warunkach — stworzył swe małe arcydzieło, film p. t. „Słowik“. Film ten wysłał na wystawę kinematograficzną do Chicago. Wkrótce przyszło telegraficznie zapytanie, kto jest twórcą tego nieprzeciętnego obrazu. Odpowiedziano: Starewicz. W następnej depeście z Chicago proszono o dokładne nazwiska scenarzysty, realizatora i operatora, gdyż film został wyróżniony. Skoro na wszystkie te pytania odpowiedź brzmiała znów lakonicznie: „Starewicz“ — twórca „Słowika“ sam stał się czemś w rodzaju bohatera swych bajek: otrzymał złoty medal i — zdobył sławę.

Pomimo to, że dziś żyje w dobrych warunkach, a nazwisko jego jest w świecie kinematograficznym poważnie cenione, Starewicz nie przestał być przedewszystkiem artystą. Nie stworzył akcyjnego towarzystwa dla eksploatacji swych pomysłów, nie interesuje się ich stroną handlową, ani reklamową. Zapatrzony w czarodziejskie oblicze swej bogini — Bajki, szuka dla niej i znajduje wyznawców wśród tych, którzy umieją jeszcze wierzyć — wśród dzieci. To mu wystarcza.

Stef. H.



Leśny potworek.

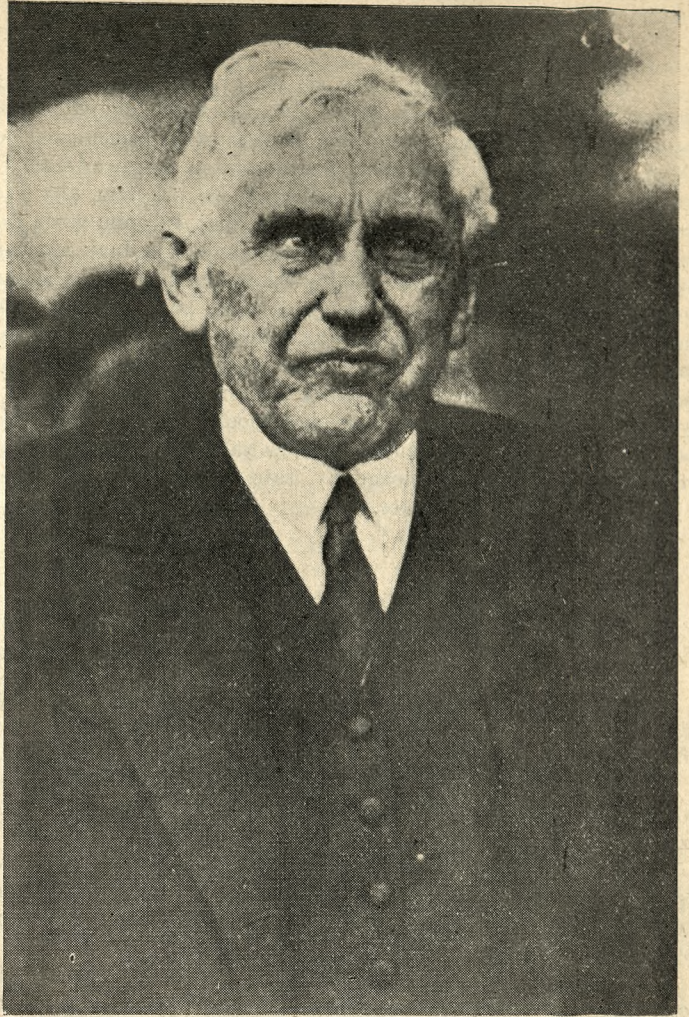
KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

NA CZELE, A NIE W OGONIE.

Liga Kobiet Pokoju i Wolności wystąpiła do wszystkich stronnictw politycznych z wezwaniem, o poważne wzięcie pod uwagę kandydatur kobiecych. Kobiety, stanowiące więcej niż połowę ludności, mają prawo nie tylko głosować, ale być posłami. Dotychczas wszystkie partje robiły w ten sposób: umieszczano na listach kandydatów nazwiska kobiece, ale na miejscach tak dalekich, za szeregiem nazwisk męskich, że wybór nigdy do tych kandydatek nie dochodził, wiadomo bowiem, że, poza zupełnie wyjątkowymi wypadkami, żadne stronnictwo całej swojej listy nie przeprowadzi. Obecnie więc kobiety, należące do partji politycznych, powinny żądać umieszczenia ich na listach na pierwszych miejscach.

LAUREAT I LAUREATKA.

Ponieważ w ubiegłym roku nagroda Nobla nie została przyznana, w bieżącym przyznane będą dwie. Równouprawienie jest pełne: kandydatką jest kobieta, pani Jane Addams, za pracę społeczną, oraz mężczyzna, znany polityk, b. sekretarz stanu Frank Kellog.



Frank Kellog

OGÓLNY ZJAZD STOW. „RODZINA POLICYJNA“.

W Warszawie, odbył się pod przewodnictwem p. komendantowej Maleszewskiej zjazd wszystkich pań przewodniczących urzędów wojewódzkich „Rodziny Policyjnej“. Poza szeregiem kwestyj wewnątrz-organizacyjnych, przedmiotem obrad były sprawy związane z ustosunkowaniem się Stowarzyszenia do nadchodzących wyborów: wszystkie panie przewodniczące zdały sprawozdanie z dotychczasowych postępów prac w tej dziedzinie, z relacyj wynika, że prawie wszystkie Koła Powiatowe „Rodziny Policyjnej“ nawiązały już ścisły kontakt z Komitetem Wyborczym Organizacji Kobięcych.

WARSZAWA KOBIECA.

Po pierwszym wydawnictwie Biblioteki Nowej Cywilizacji, obejmującym zarys historii działalności wielkich Związków międzynarodowych kobiecych i będących ich oddziałami krajowymi, lub afiliowanymi do nich związków polskich tego samego charakteru, ukazała się teraz druga książka, p. t.: „Warszawa Kobięca“. Wydawnictwa tego wyszedł zeszyt I, w którym opracowano krótkie streszczenie celów i historii działalności wszystkich stowarzyszeń kobiecych warszawskich, lub mających centralę w Warszawie, jak np. Stow. Ziemianek. Z książką tą powinna zapoznać się każda kobieta, a przede wszystkim zapoznać z nią swego... męża.



Jane Addams

O ZDROWIE MAŁŻONKÓW.

Od dłuższego czasu toczy się we Francji żywa dyskusja w sprawie obowiązujących badań lekarskich dla obojga narzeczonych przed ślubem. Francuskie Towarzystwo Eugeniczne od dawna już prowadzi energiczną propagandę o wprowadzenie tego prawa. Skrajniejsi eugenicy domagają się przytém, aby ujemny wynik ekspertyzy stanu zdrowia jednej, lub obu stron pociągał za sobą zakaz małżeństwa. Rozważniejsi jednak słusznie twierdzą, że dzisiejszy stan wiedzy lekarskiej nie daje absolutnej pewności orzeczenia, że dany osobnik bezwarunkowo nie może wstąpić w związki małżeńskie. Prawo tego rodzaju zakazu mogłoby nadto dawać pole do wielu nadużyć. Pożądane więc jest tylko uświadomienie obu stron, co do ich stanu zdrowia i wpływu tegoż na wzajemne pożycie i spodziewane dzieci. Zakaz wstępowania w związki małżeńskie, w razie niezadowolającego stanu zdrowia, byłby niepożądany, zato samo badanie powinno być stanowczo obowiązujące.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

Wybory w Niemczech są już faktem dokonany. Dla należytego zrozumienia, czem jest dla całej przyszłej polityki europejskiej ich rezultat, musimy zdać sobie sprawę z programu i działalności stronnictw, które, prowadząc agitację wyborczą, walczyły o władzę rozstrzygnięcia, czem będą Niemcy w przyszłości.

Programem wszystkich bez wyjątku partij politycznych, działających na terytorjum niemieckiem, jest... rewizja Traktatu Wersalskiego. Różnice są tylko w metodach działania, w niczem innym.

Na czoło stronnictw prawicowych wysuwają się *Hittlerowcy*, leader: Adolf Hitler, program: najskrajniejszy nacjonalizm, połączenie wszystkich krajów, których ludność mówi po niemiecku (nawet Szwajcarii), pod berłem Niemiec, odebranie Polsce Pomorza, Poznańskiego i Śląska *drogą wojny*. Na okrasę programu, partja ta, dla pozyskania mas, propaguje zniesienie wielkiej własności i socjalizację przedsiębiorstw.

Narodowcy niemieccy, leader: Huggenberg, egzekutywa: bojówki Stahlhelmu (bojówki mają też zresztą i Hittlerowcy), prasa (444 dzienniki), program polityczny ten sam co Hittlera, społeczny b. konserwatywny.

Stronnictwo konserwatywne, leader: *Treviranus*, program: taki sam, jak poprzednich partij.

Stronnictwo niemiecko-ludowe, leader: von Seeckt, alter ego Treviranusa w wystąpieniach odwetowych. Do stronnictwa tego, przedstawiającego interesy wielkiego przemysłu, należał, a raczej prowadził je nieboszczyk Stresemann, ale po jego śmierci zmieniło się tam wszystko, narazie ludowcy mówią jeszcze o *pokojoyej* rewizji granic, jest to jednak poprostu błaga.

Stronnictwo gospodarcze reprezentuje średnie mieszczaństwo, program polityczny w sprawie rewizji granic ten sam. Konserwatyści, ludowcy i stronnictwo gospodarcze utworzyły, w celach wyborczych, blok mieszczański, pod patronatem Hindenburga.

Tyle na prawicy. Dziwna to coprawda prawica, której naczelna partja ma program społeczny prawie komunistyczny! Nic to, przekonamy się niebawem, że lewica i komunizm mają zato w polityce program wybitnie nacjonalistyczny, co jest chyba takim samym dziwologiem.

Najmłodszym stronnictwem lewicy jest *Partja państwoowa*, „*Staats partei*“. Powstała ona z Zakonu Młodoniemieckiego. Zakon ten, zorganizowany na zasadach, przypominających ustrój zarówno zakonu krzyżackiego, jak łóż masońskich, miał za zadanie moralne odrodzenie Niemiec, młodzieży, kultury itp. itp.

Młodoniemcy propagowali przyjaźń z Francją, zrzeczenie się Alzacji i Lotaryngji, pacyfizm w duchu Stresemana. Przed wyborami połączyli się z partją demokratyczną i wtedy, jako naczelne hasło wyborcze, Staats partei zmanifestowała odwet w stosunku do Polski, odebranie Korytarza i Górnego Śląska!

Socjaldemokracja. Program socjalistyczny, rewizja granic z Polską, na drodze... pokojowej. Co za łaska!

Komuniści, leader: Stalin, współpraca z jednej strony z Moskwą, z drugiej z *tajnemi organizacjami prawicowemi wojskowemi w Niemczech*.

Tego to już świat dotychczas nie widział.

Pozatem jest jeszcze stronnictwo bawarsko-ludowe, któremu chodzi zresztą głównie o sprawy samodzielności Bawarii i Centrum, klerikalne, żądające rewizji granic z Polską, też na drodze... pokojowej.

Które z tych stronnictw „*wzięło*“ wybory?

Ano, Hittlerowcy dostali 101 mandatów, narodowcy Huggenberga 30, ludowcy 27, stronnictwo gospodarcze 21, konserwatyści 5, a więc 184 posłów mieć będą partje, żądające odwetowej wojny z Polską. Jako „*odwetowcy*“ przybywają posłowie Staatspartei, 19 głosów, przedstawiciele „*lewicy*“, również żądający wojny! Są to 203 głosy „*wojenne*“. Nie stanowią one większości parlamentu, broń Boże. Socjaldemokraci dostali 137 posłów (najwięcej jako jedno stronnictwo), komuniści 75, Centrum 64. Jest to razem 276 głosów, które także chcą odebrać Polsce Śląsk, Poznańskie i Pomorze, pragną to jednak skutecznie grzechnie, drogą pokojowego „*umorzenia*“ Traktatu Wersalskiego.

Tylko, czy im się wszystkim razem uda?

Częściową odpowiedzią na to pytanie jest ilość składek, wpływających na łódź podwodną, „*Odpowiedź Treviranusowi*“, ze wszystkich miast i wiosek polskich. Z tego powodu rząd niemiecki zrobił nawet wymówkę gadatliwemu ministrowi, zaznaczając, że mowa jego przyczyniła się do powiększenia polskiej floty wojennej, co chyba nie leżało w zamiarach pana Treviranusa!

GOSPODARSTWO KOBIETY PRACUJĄCEJ ZAWODOWO

I. DOM, CZY FACH?

— Właściwie, co pani robi cały dzień w domu? Bawi się pani w przestawianie mebli z miejsca na miejsce? — pytał impertynencko pewien stary kawaler.

— Ach, czy pan ma pojęcie, ile jest roboty w domu, od rana do wieczora? — odpowiadała słodko — ale gdy się pan ożeni, zobaczy pan...

— Wolął widocznie tego nie zobaczyć, bo się nie ożenił.

Ale wyobraźmy sobie, że tenże kawaler się żeni. Jednym z warunków, jakie stara się przeforsować u swej przyszłej żony, dajmy na to buchalterki czy chemiczki, jest:

— Moja droga, nie będziesz pracowała. — Prawi czułości. — Chcę, byś się nie męczyła, chcę cię mieć tylko dla siebie, a zresztą — tu wylazi owo przysłowiowe szydło z worka — zobaczysz, ile będziesz miała zajęcia w domu, krzątania przy gospodarstwie...

Teraz ona znowu nie jest ciekawa, woli tego nie zobaczyć i raczej rezygnuje z małżeństwa, niż zgodzi się na porzucenie pracy.

W tem wszystkim niema wiele logiki, zaiste, ale czwz nie takie są najczęściej spotykane rozumowania?

Typowa dezorientacja wobec współczesności. Rozwój stosunków ekonomiczno-społecznych, kształtujących się obecnie w niesłychanie szybkich odmianach, nie wróży powrotu kobiety do ogniska domowego, jako wyłącznego jej królestwa. Nawiasem mówiąc, wiemy jak wygląda i czym jest to „królestwo”, które polega na świadczeniu najprzykrzejszych i najcięższych posług. Tepe morały, nawołujące kobietę do powrotu wyłącznie do zajęć domowych, padają wobec rzeczywistości. Warunki ekonomiczne nie pozwalające już kobiecie pozbyć się pracy zarobkowej — to bodaj najsilniejszy, najbardziej nieublagany argument.

Po drugie, odsunięcie kobiety od warsztatów pracy ekonomicznej, społecznej i politycznej byłoby niepowetowaną szkodą dla ludzkości i postępu świata. Pierwiastki kulturalne, jakie wnosi współpraca kobiet w zorganizowane życie państwowe, ekonomiczne i społeczne są może nieocenione jeszcze, lecz już niezbędne.

Po trzecie, kobieta, jako indywiduum i zbiorowość, nie wyrzeknie się już dziś swej niezależności moralnej i materialnej. Są to zbyt cenne wartości wszechludzkie, by pozwoliła się od nich odsunąć.

Kobieta musi sobie inaczej poradzić, musi zreorganizować swoje życie domowe, swoje dotychczasowe zajęcia i krzątanie zastąpić ściśle nowoczesnym podziałem pracy, specjalizacją i uspołecznieniem zajęć. Musi zreformować wychowanie dzieci w duchu usamodzielnienia ich w zakresie osobistych posług, musi, co może najtrudniejsze, nauczyć mężczyznę, by stał się współpracownikiem jej zajęć domowych i współtwórcą życia domowego. Bo tak, jak jest teraz — jest fatalnie. Kobiecie przybyła praca zawodowa i zarobkowa, w znaczeniu społeczno-ekonomicznym, a nie ubyło zajęcia i domowego krzątania się, które nie są pracą, ale zajmują moc czasu i wymagają mnóstwo sił i wydatku energii. Innemi słowy: jestem nauczycielką, jestem artystką, jestem maszynistką, jestem hafiarką, jestem policjantką i konduktorem, szoferem i tancerką — a przy tem zawsze i nieodmiennie gospodynią. Niektóre wielce wymagające i surowe niewiasty chcą, bym była gospodynią zawodową, umiejącą równie dobrze zakwaszać ogórki, jak hodować pieczarki w pokoju i wzorowo czyścić stare brzozy; szyć bieliznę dla męża i dzieci, prać i prasować według najnowszych metod i sprzątać mieszkanie, urządzone nie tylko higienicznie, ale i estetycznie, a obiad przyrządzać według laboratoryjnych przepisów o kalorykach i składnikach odżywczych.

— Tak powinno być — mówią.

A czy to możliwe jest w rzeczywistości? Widzimy jednak co innego.

Kobieta pracująca, jeśli mieszka sama, organizuje swe małe gospodarstwo przy pomocy przychodniej posługaczki, która sprząta mieszkanie, przyrządza śniadanie, załatwia niektóre zakupy. Obiad je się w restauracji, jadłodajni i t. p., pranie i prasowanie oddaje się do pralni, szycie do krawcowej czy szwaczki. Oczywiście, kto ma czas na to, umie i lubi, szyje sobie suknie lub kapelusze, przyrządza sobie śniadanie lub kolację w domu. Zasadniczo jednakże, będąc sama specjalistką w jakiejś gałęzi pracy zawodowej, kobieta pracująca zawiera przymierze — które bywa zresztą często wojną — z innymi specjalistkami, jak posługaczka, pracznica, krawcowa, kucharka.

W Polsce ubolewa się nad niezależną kobietą, że „nie ma wszystkiego w domu”.

Kobieta zamężna natomiast musi „mieć wszystko w domu”, chociaż pracuje sama zarobkowo. Jej mąż chciałby jeść ciastka, upieczone jej ręką, niemal nosić pończochy, przez nią własnoręcznie zrobione na drutach: „u mojej babki tak było”, nie uznaje wyjścia na obiad z domu, bo za drogo i jedzenie niedobre. Ponieważ pani domu nie może wszystkiego zrobić sama, więc bierze się służącą; jest to nietylko bardzo droga pomoc, ale źródło tysięcy nieprzyjemności w domu: obcy człowiek wpleciony w życie codzienne. Czasami trafia się na perłę — ale zwykle — nie. I wtedy gospodyni domu zaczyna słyszeć od swego męża, matki, teściowej, szwagierki, przyjaciółek i całego świata: — Bo niema sensu, żebyś ty pracowała poza domem. Rzuć dentystykę, rzuć biuro, rzuć laboratorium, rzuć sztukę — zostań dobrą gospodynią, przynajmniej dom będzie jakoś wyglądał.

Coś mi się tu nie podoba! Dom będzie wyglądał, więc ty za to możesz wcale nie wyglądać? Niema cię w rejestrach ludzi, którzy pracują, znikniesz, jako jednostka, mająca swój byt własny w społeczeństwie, swoje utrzymanie i stanowisko społeczne, no i pozycję moralną...

Pytam, co tu ważniejsze: czy, by dom wyglądał, czy człowiek istniał? Coś mi się tu wydaje nie w porządku. Kogoś przeceniają, kogoś nie doceniają... Za duży jest koszt moralny domu, okupionego niewolą człowieka.

A jeżeli kobieta pracująca ma dziecko, dzieci, jej zadania są tym sposobem potrojone. Praca, gospodarstwo, wychowanie. Wtedy jeszcze częściej molestuje ją kochająca rodzina, najbliższe otoczenie, by wyrzekła się pracy zarobkowej, a oddała się dzieciom, poświęciła się dla domu i ogniska rodzinnego.

Miłość macierzyńska ulega często pokusom oddania siebie samej na pastwę małym pożeraczom — i zawsze prawie odchodzi zniszczona, zrujnowana, zawiedziona, zdeptana, już niepotrzebna, wyeksploatowana.

Chciała być w domu — dać prawdziwy dom swym dzieciom, mężowi, dom, któryby jakoś wyglądał — i ani się spostrzegła, jak w tym domu zostaje sama, opuszczona przez tych, dla których w nim się zamknęła, skazując się na dobrowolne ubóstwo życia osobistego. Mąż ma inne zainteresowania, przyjaciół, życie społeczne, przyjemności osobiste, pracę zawodową, dzieci podrosły i uciekają z domu — tego domu, który wzniosło poświęcenie matki.

Dom... dom urasta w ten sposób do jakiegoś Molocha, symbolu, pożerającego siły kobiece, ogół kobiet z ich zdolnościami, aspiracjami, pracą. W Polsce przecenia się wciąż jeszcze znaczenie domu. Ale czy, mówiąc pospolicie, ta gra warta świeczki?

Istnieje w umysłach ogółu niesłychany przerost domu w znaczeniu wygody, a raczej indolencji, odcięcia się od świata i jego ruchu, pograżenia się w kwiatyzmie codzienności. A zwłaszcza dobre jedzenie, jedzenie i jeszcze raz jedzenie. Polak niechętnie wychodzi z domu, lubi przesiadywać w nim i chciałby, by dom zawierał wszelkie skarby i przyjemności ziemskie. A jeśli kobieta nie umiała stworzyć z domu wymarzonego rajy? Mimo bezwzględного oddania domowi...

Zwykle nie mogła, bo nie jest to łatwe. Więc, czy opłaca się jej wyrzeczenie się samodzielnej egzystencji?

Jadwiga Krawczyńska.

W KRAJU, KTÓRY NIE PISZE HISTORJI

Jedziemy! Dokąd?

Naturalnie do Belgji, do tej odważnej Belgji, która najprzód oparła się niemcom, a teraz zwołała wszystkie narody świata na kongresy. Wprawdzie, nikt nie wie, ile tych kongresów ma być i dlaczego ma ich być tak dużo. Ale nie o to chodzi, bo przede wszystkim, na kongres nie jedzie się przecież po to żeby słuchać krasomówczych potoków, ale po to żeby spotkać tam przemysłowych ludzi, z którymi się ma tyle wspólnego i tyle różnego... a zawsze można dobrze z nimi porozmawiać, nie byle czego się dowiedzieć i nauczyć.

Przyjeżdżamy do Liegè w nocy (nie wiem dlaczego to miasto nazywa się po polsku pompatycznie Leodjum). Zajeżdżamy ze swojemi studenckimi walizkami do wskazanego nam hotelu. O la la... 150 fr. za nocleg, to, uwzględniając nawet małą wartość franka belgijskiego, jest o wiele za dużo!

Nazajutrz... poszukiwanie tańszego mieszkania. Jest, ale prywatne. Daje nam to możność poznania życia „intime” Belgijek.

Rano jazda na wystawę.

Polski pawilon najprzód. Naprawdę, bardzo udany: nie za skromny i nie za wspaniały, nic w nim z nowobogackiego; stara, pełna uroku kultura, niesfałszowana i nie rzucająca się w oczy, ale rzetelna. Wykresy przejrzyste, śmiałe, wyraźne mówią dobitnie, czem jesteśmy. Antytezę stanowi pawilon japoński, gdzie wszystko przemalowane na kolor nowoczesny i w ohydny sposób zeuropeizowane. Nie brak nawet hańców „richelieu” i angielskich mereżek.

Czesi mają przepiękne kryształły, cudne w kolorze i doskonale kształtne, zwłaszcza nowe w pomysłach nieregularne bryły po prostu rwą oczy, nie mogą z nimi konkurować olbrzymie i nudne Val Saint Lambert belgijskie.

Gwoździem wystawy jest dla nas elektryczna ferma. Ciekawa rzecz, czy prawdziwe fermy belgijskie, te w których ludzie żyją i pracują, naprawdę tak wyglądają. Trzeba dotrzeć do nich, koniecznie...

W międzyczasie dowiadujemy się, że żadne referaty wygłaszane nie będą, a tylko „des rapporteurs généraux” mają streszczać nadesłane głosy i reasumować wnioski.

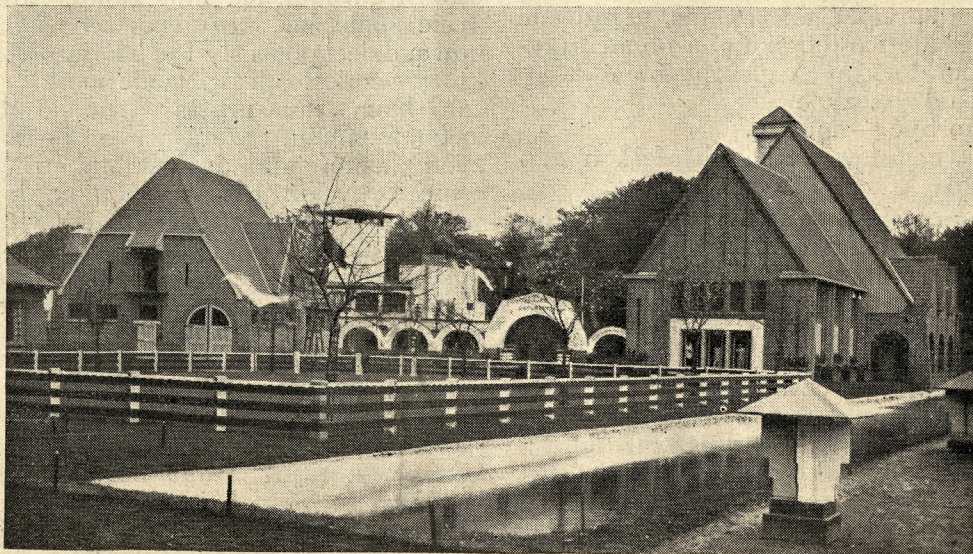
W 5 sekcjach wychowania rodzinnego jest tych wniosków tyle, że odczytanie ich zajęłoby półtorej godziny czasu, rezygnujemy więc z wysłuchania wniosków uchwalonych we wszystkich sekcjach. Przyjmujemy je „en bloc”, i na propozycję przewodniczącego składamy hołd p. de Camus, francusce, matce 12-ciorga dzieci i belgijce, która ich dochowała się 14-ciorga. Potem słuchamy całej litanji podziękowań dla komitetu, wygłaszanych we wszystkich językach świata.

Na pierwszy ogień idzie p. Sobański, frenetycznie oklaskiwany, jak wogóle oklaskiwane są wszystkie polskie wystąpienia; z ogniem i bezgranicznym temperamentem przemawia młody nauczyciel z Kolumbji; śliczna panienska z Persji więcej pociąga aksamitnym spojrzeniem, niż pensjonarskim wypracowaniem, czytaniem z kartki. Po peruwiańczyku i chińczyku cudownie brzmi melodia włoskiego języka.

W poniedziałek wszyscy jadą do Brukselli dla złożenia hołdu manifestacyjnego p. de Vuyst, który jest naprawdę zasłużonym dla całego świata pionierem postępu gospodarczego, pionierem wykształcenia gospodarczego i podniesienia kultury wsi.

O 2-giej wszyscy jadą do Laeken, aby uczestniczyć w doręczeniu puharów zwycięskim uczestnikom międzynarodowego konkursu sprawności gospodarczej i popatrzeć na zabawę ludową, inscenizowaną dla pokazania nam strojów i tańców ludowych.

W zupełnie „pojedyńcem” aucie przyjeżdża król Albert z adjutantem, bez żadnej parady i bez świty. Jest gadułą, przez półtorej godziny gawędzi z delegatami 42 narodów, potem występuje maleńka załężniona transteweranka w narodowym stroju i odbiera z jego rąk nieprawdopodobnie wielki, srebrny puhar i brzydki bukiet z dalji w belgijskich kolorach. Drugi puhar i drugi bukiet dostaje belgijka. Więcej kandydatek nie było, i nic dziwnego: w dzisiejszych czasach, tak dla wsi krytycznych, doprawdy trudno myśleć o posłaniu do Belgji kandydatki na laureatkę konkursu „de la vaillante fermière”. To też podziwialiśmy wszyscy markizę Cataneo, która miała tyle ener-



Ferma elektryczna w Anders.



Charakterystyczne typy flamandek.

gji, odwagi i... pieniędzy, że mogła się zdobyć na przywiezienie małej transteweranki z głębi prawdziwej włoskiej wsi, aby konkurowała o puhar i pokazała, jak bardzo rolniczym narodem są włosi.

Po powrocie jeszcze jedno przyjęcie w ratuszu, tym klejnocie architektonicznego piękna, a wieczorem znowu bankiet, tym razem, na cześć p. de Vuyst'a.

Nazajutrz rano wyjazd do Anvers, na kongres gospodyń, właściwy cel naszego pobytu w Belgji.

Zgłoszonych jest 25 referatów, ale to nikogo nie przeraża. Wiemy już, że kongresy belgijskie są uproszczone i odbywają się w błyskawicznym tempie. Gdy jednak rozpoczynają się obrady pod przewodnictwem p. Krombrugh de Piquendaele i sekretarz generalny odczytuje wnioski z referatów, których teksty otrzymaliśmy przed paroma godzinami, na sali panuje cisza, której nikt nie myśli przerwać.

Nastrój też się coraz bardziej; gdy nakoniec rozpoczyna się dyskusja prezydium z delegatem Holandji (naturalnie po holendersku), cudzoziemcy słuchają z początku pobłażliwie, ale, gdy dyskusja przedłuża się do nieskończoności, występuje czeska, p. Miskoszowa i proponuje po czesku, aby każdy mówił w swoim języku, za przykładem mówcy. Ogólna wesołość zapanowuje po tym wystąpieniu i wnioski hollendra, zgoła nie międzynarodowe, przepadają. Powoduje to opuszczenie sali obrad przez wszystkich hollendrów. Staje się jasne, że najtrudniej o „entente cordiale“ z najbliższymi sąsiadami.

Po tym epizodzie już wszystko poszło, jak po maśle, tem bardziej, że małe intermezzo rozkrochmało zeszytniało audytorjum. Przyczyniło się do tego jednak głównie obecność monsignora Luytgaerns, przewodniczącego flamandzkiego „boerenbondu“, człowieka obdarzonego nieprawdopodobnie potężną indywidualnością, sugestywnym darem pociągania ludzi i władczyim urokiem urodzonego trybuna.

Pod jego przewodnictwem odbyło się zebranie kilku tysięcy członkiń „boerinnenbondu“ belgijskiego, potężnego związku gospodyń, będącego sekcją zrzeszenia chłopskiego, liczącą powyżej 112 tysięcy członkiń.

W Anvers oglądaliśmy drugą fermę wzorową, istotnie prześliczną i nad wyraz oryginalną; otoczona kanałem, poza którym z pomiędzy arkad murowa-

nych zwieszały się nad wodą masy kwiatów, z aksamitnem pastwiskiem na podwórzu, ogrodzonym dziwnym, czerwono-żółtym parkanem. Wyszukany komfort przy prostych formach, wzór, który każdy radby naśladować, wzmógł moją chęć poznania prawdziwej wsi belgijskiej. Wreszcie znalazło się wolne popołudnie i pod wodzą młodej instruktorki, której rodzina mieszkała o godzinę od Anvers, pojechaliśmy do wioski Waerloos.

Mała stacyjka, kilkunasto minutowy spacer połą dróżką, murowany dom... wchodzimy.

W pierwszym pokoju rodzaj kuchni - jadalni, przy winie i ciastkach siedzi czterech gospodarzy i ksiądz (księża prowadzą tu całą pracę społeczną i ekonomiczną, stoją na czele kół rolniczych i spółdzielni). Pokoje małe, niskie, niektóre belkowane; jest ich pięć. Dwie kuchnie: paradna, będąca jednocześnie jadalnią i świetlicą i druga, właściwa pracownia kuchenna. Trzy maleńkie sypialnie mieszczą zaledwie łóżko, stół i krzesło. Skala komfortu i poziom mieszkania o wiele wyższe, niż u nas w mieszkaniach chłopskich. Podłogi z ceramiki, albo froterowane, meble komfortowe. Mieszkania zamożne mało się różnią od mieszkań miejskich, które poznaliśmy. Ale pod tą skorupką kulturalną kryje się twarde, żelazne, pochłonięte przez pracę życie chłopskie. Już dziewczynki 14 i 15 letnie, jeżdżące na rowerach do szkoły, przed wyjazdem doją krowy, pomagają w obrządki. Krów w 12 hektarowej fermie jest 12, wieprzy karmnych 25 — całe gospodarstwo skierowane do prowadzenia hodowli. I nietylko to jedno. Już monsignor Luytgaerns mówił nam o tem, że cechą belgijskich gospodarstw jest specjalizacja: okolice Anvers prowadzą hodowlę, koło Brukselli wszystko jest pod szkłem. Uprawiają tam pomidory, brzoskwinie a zwłaszcza winogrona, te ciemne i wielkie jak śliwki winogrona, które docierają i do Warszawy.

Okolice Brugie i Molines mają ogromne tereny kwiatowe; koło Liège zwiedzałyśmy imponującą produkcję storczyków, jedną z największych na świecie; Luksemburg poświęca się różom.

Ta specjalizacja łącznie z wielką kulturą i niezmierną, podziwu godną pracowitością pozwala „boerom“ belgijskim zwycięsko przetrwać krytyczne czasy. Bo niewątpliwie są one krytyczne i dla nich, a do niskich cen przyłączyły się w tym roku nawałnice i deszcze, które sprawiły, że koło 20 sierpnia pszenice i owsy stały jeszcze w polu.

Naród belgijski jest prostoliniijny, twardy, dociekły i gruntowny.



Przed fermą w Waerloos. Dom przybrany zniszczonemi sabotami przybitemi do ściany. Rosną w nich kwiaty.

Siedząc w wiejskiej siedzibie flamandzkiego „boera”, słysząc dokładne objaśnienia, jakie daje zacna — ale jakże szpetna jego żona, zdajemy sobie dopiero sprawę z tego, że naród ten organizował kilkanaście kongresów z tem samem poczuciem obowiązku, z jakim zatrzymał zwycięski pochód Niemców.

Na okazałym pomniku króla Alberta, u wejścia na wystawę antwerpską, widnieje napis: „Zwycięski naród nie pisze historii”. Tak — oni jej nie piszą, oni ją tworzą, a ten człowiek pełen prostoty, który jest ich królem, tworzy ją w ścisłej z nimi jedności.

M. Karczewska.

ZAPASY ZIMOWE

II.

Jedną z poważnych trosk jesiennych jest też odpowiednio przygotowanie piwnicy na przyjęcie zapasów zimowych.

Piwnice w starych domach rzadko kiedy odpowiadają, niestety, warunkom zasadniczym, któremi są: dobre zabezpieczenie od mrozu (szczelne drzwi i okna), brak wilgoci, tego wroga warzyw i owoców, możność przewietrzania.

Typowe miejskie piwnice, umieszczone jedna przy drugiej na ciemnym, zatęchłym korytarzu, bez okien, z drzwiami trzymającymi się za ledwie na zawiasach, osadzonych w zmurszałych futrynach, wydzielające odrażającą woń sęchlizny, muszą być uważane nie za odpowiednie schronisko dla zapasów żywnościowych, a za siedlisko zarazy, która stoczy w krótkim czasie najdorodniejsze i najzdrowsze ziemiopłody.

Przeciwstawieniem wyżej opisanych są elegancie, widne piwnice, które wchodzą w skład nowoczesnych mieszkań. Byłyby one niezaprzeczenie źródłem dumy, rozkoszy i dobrobytu domowego, gdyby nie rury od centralnego ogrzewania, które tak często biegną wzdłuż murów i pozbawiają nas możności zamienienia takiej piwnicy w przechowalnię. Ogrzewana staje się bowiem nieodpowiednia do przechowywania owoców, warzyw i kiszzonek, a służyć może jedynie za skład węgla i drzewa, który w domach, ogrzewanych centralnie, staje się prawie że bezużytecznym, wobec tego, że troska o nagromadzenie materiałów opałowych jest zbędna. Dwory wiejskie, wille podmiejskie i niektóre kamienice mają jednak piwnice, odpowiadające wymaganym warunkom. Tylko, czy każda z nas warunki te wykorzystać umie?

Zapał pani domu, który wypowiada się jesienią w nagromadzeniu potrzebnych domowi na okres zimowy zapasów, kończy się bardzo często zupełnem zniechęceniem wobec gnijących, lub więdnących warzyw i owoców, a zniechęcenie to wypowiada się zaniechaniem robienia w przyszłości jakichkolwiek zapasów. W takim wypadku nie wiemy, czemu przypisać winę: piwnicy, dostawcy, ostrej, czy zbyt łagodnej zimie — nie przypisujemy tylko winy sobie i postępujemy niesłusznie.

Przechodząc do omówienia warunków, jakie trzeba stworzyć w dobrej piwnicy, aby mogła być naszą sojuszniczką, a nie niszczycielką dobra rodzinnego, musimy nadmienić przede wszystkim, że utrzymanie w piwnicy nienagannej czystości jest najpierwszym i nieodzownym warunkiem.

Piwnica musi być, po opróżnieniu jej z zapasów, a zatem na wiosnę, uprzątnięta i wywietrzona. Nie

można pozostawiać w niej żadnych resztek, pod postacią gnijących warzyw, owoców, nieoczyszczonych naczyń po kiszoncek i t. p. Uprzątniętej piwnicy zapewniamy stały dopływ świeżego powietrza, wietrząc ją zapomocą wytwarzania przeciągów, które najlepiej odświeżają i oczyszczają powietrze. Na dłuższy czas przed sezonem aprowizacyjnym przystępujemy do porządków podstawowych, rozpoczynając je od wybielenia ścian, lub wyszorowania ich ostrą szczotką ryżową (jeżeli są drewniane, lub olejno malowane), dodając sody do wody, którą zmywamy ściany. Półki szorujemy w ten sam sposób. Świeżej warstwy wapna nie dajemy nigdy na wapno stare, lecz zeskrobujemy je ze ścian i wyrzucamy: w mieście — do śmietnika, na wsi — na kompost.

Podłogę, o ile jest drewniana, trzeba doskonale wyszorować, ziemną — zeskrobać ostrym szpadlem na 1 cm. grubo i pokryć warstwą czystego piasku rzecznoego, kamienną — zamieść czysto i również wysypać piaskiem.

Przez cały okres porządków wietrzmy piwnicę, a gdy jest już doprowadzona do wzorowego stanu, dezynfekujemy ją zapomocą siarki, sypanej na rozżarzone węgle. Zanim przystąpimy do tej czynności, trzeba starannie uszczelnić okno, zalepiając wszelkie szpary pasami papieru. Rozżarzony węgiel ustawia się w żelaznych naczyniach; ilość naczyń uzależniamy od wielkości piwnicy. W małej piwnicy wystarczy jedno, w większej dwa, a w dużej trzy do czterech. Węgle posypujemy obficie sproszkowaną siarką, wychodzimy natychmiast z piwnicy, zamykamy za sobą drzwi i znów uszczelniamy wszystkie szpary i dziurkę od klucza. Po czterech dniach można już otworzyć piwnicę. Podstawowe wietrzenie jej w ciągu tygodnia (przeciągi) jest konieczne.

Okna w piwnicy trzymamy otwarte, aż do chwili zagospodarowania jej. Gdy piwnica zamieni się w przechowalnię, staramy się zachować w niej świeże powietrze, otwierając codziennie okna na chwilę, jednakże unikamy już przeciągów, które nadmiernie wysuszają powietrze i sprzyjają zbyt intensywnemu parowaniu owoców i warzyw. Parowanie wzmoczone na podstawie stworzenia niewłaściwej atmosfery powoduje więdnienie owoców i warzyw.

Do piwnicy zapełnionej owocami staramy się odciąć dopływ światła, które przyspiesza proces dojrzewania owoców. W piwnicach, przeznaczonych pod warzywa, najlepiej jest utrzymywać półmrok. Nadmienić tutaj musimy, że przechowywanie owoców razem z kartoflami i jarzynami jest niewskazane, jak również niedopuszczalnym jest trzymanie w piwnicy, która nam służy za przechowalnię owoców, jakichkolwiek produktów o swoistej woni, jak: kiszoncek (kapusta, ogórki, rydze), lub nafta, czy smary. Owoce układamy na czystych półkach drewnianych, które najlepiej budować z listewek, co ułatwia dopływ powietrza. Gruszki kładziemy do góry ogonkami, jabłka przeciwnie — ogonkami na dół, starając się zachować pomiędzy owocami odstęp. Tylko późne odmiany można układać w kilka warstw, i to na czas krótki.

Przenoszenie większych ilości owoców naraz z piwnicy do pokoi mieszkalnych jest niewskazane. Wydelikaccona skórka owoców, przechowywanych dłuższy czas w ciemności, pokrywa się łatwo, pod wpływem światła, plamami.

Owoce muszą być starannie przebierane. Usuwamy natychmiast jabłka i gruszki, które zaczynają gnić,

aby nie zakażały owoców z nimi sąsiadujących. Do zabiegów tych koniecznym jest światło; to też w dobrze zabezpieczonej piwnicy, okna której są osłonięte okiennicami, lub matami ze słomy, posługujemy się światłem sztucznym. Idealnym będzie tutaj światło elektryczne, które nie pozostawia po sobie gazów spalinowych, natomiast w braku światła elektrycznego nie należy posługiwać się nigdy lampami naftowymi, ani zwyczajnymi świecami, które wydzielają obficie ten właśnie tak szkodliwy dla owoców gaz spalinowy, lecz stoczkami, lub świecami woskowymi.

W piwnicy musi być utrzymana temperatura, sprzyjająca przechowaniu owoców, a taką jest temperatura, wahająca się pomiędzy $+2$ — $+4^{\circ}\text{C}$. Poniżej 0 temperatura spadać nie powinna. W razie, gdyby ostre mrozy groziły naszym zapasom, zabezpieczamy drzwi i okna słomianymi matami, a owoce przykrywamy arkuszami szarego (nigdy drukowanego) papieru i ułożoną na nich słomą. Bezpośrednio ze słomą owoce stykać się nie powinny, gdyż przechodzą łatwo jej aromatem. Natychmiast po wytworzeniu się w piwnicy atmosfery, nie zagrażającej przemarzeniem owoców, usuwamy przykrycie.

Kartofle trzymamy na podłodze wysypanej grubo piaskiem, formując z nich stosy. Częste przebieranie jest koniecznym zabiegiem, albowiem kilka psujących się kartofli może zniszczyć cały zapas.

Pietruszkę przechowujemy w piasku, formując z niego rodzaj zagonów i układamy korzonek przy korzonku, dbając o to, aby się nie stykały ze sobą. Układa się dla wykorzystania miejsca w dwa rzędy, zawsze serduszkami (miejsce, z którego wyrasta nać) do zewnątrz. Serduszka powinny wystawać poza warstwę piasku. Każdą warstwę ułożonej podług powyższych wskazań pietruszki przesypujemy na 6 cm. grubo, lekko wilgotnym piaskiem i dajemy na nim następną warstwę.

Marchew przechowuje się dobrze jedynie w umiarkowanej temperaturze i atmosferze. Nie lubi ona zarówno nadmiaru wilgoci, jak zimna, lub ciepła. Trzymamy marchew przesypaną piaskiem.

Buraki przechowują się najlepiej, oczyszczone z liści i ustawione w piasku, tak, jak rosły.

Kapustę, przechowywaną w głowach, należy często przeglądać i oczyszczać z gnijących liści. W razie ostrego mrozów przykrywać warzywa słomą.

Cebulę najlepiej splatać w warkocze i zawieszać w przewiewnych, chłodnych miejscach, chroniąc starannie od przemarzenia. Przemarznęta cebula bardzo szybko gnije.

Groch i fasolę, doskonale wysuszone, przechowuje się w woreczkach; tak samo postępujemy z makiem, który zsypuje się do wąskich woreczków i trzyma się w bardzo suchych pomieszczeniach, aby nie zatęchł. Mak do dłuższego przechowania musi być doskonale wysuszony.

Wszelkie zapasy, przechowywane w workach, zarówno wyżej wymienione, jak i mąki i kasze, najlepiej jest chronić przed bezpośrednim zetknięciem z ceglana, lub kamienną podłogą spiżarnianą, lub drewnianą, która bywa od czasu do czasu szorowaną. W tym celu, albo zawieszamy worki na hakach, wbitych w pułap, albo też ustawiamy je na drewnianych krzyżakach.

Jedynie ciągła i sumienna zapobiegliwość, polegająca na zachowaniu wszystkich omówionych wskazań, jest w stanie uchronić nas przed poważnymi stratami, spowodowanymi tak często przez niedoceniecie, lub zbagatelizowanie koniecznych zabiegów.

Wanda Dobrzańska.

LA CAPTIVE

NAJMODNIEJSZY
ZEGAREK
ELEGANCKIEGO
ŚWIATA
OSTATNIA ZDOBYCZ
TECHNIKI.

TAVANNES

DO NABYCIA W PIERWSZORZĘDNYCH
MAGAZYNACH ZEGARMISTRZOWSKO-JUBILERSKICH

Dn. 21, 22 i 23 października odbędzie się w Warszawie Zjazd Pań Domu. Aby zaznajomić nasze Czytelniczki z celami Zjazdu i zwrócić Ich uwagę na ważność tej sprawy, podajemy poniżej odezwę Komitetu Zjazdu. O programie obrad pomówimy w następnym numerze.

ODEZWA

Do wszystkich kobiet polskich zwracamy się z wezwaniem:
Na Zjazd!

Codzień zapala się w Polsce pięć milionów ognisk domowych. Codzień warzy się na nich pożywienie, które ma dać polskiemu narodowi żywotne siły i tworzą energję.

Ogniska te roznieca ręka kobiety — to pożywienie ona przyprawia, ona je gotuje, ona nim zarządza.

Czyż kobieta — gospodyni domu nie jest największą potęgą, największą siłą Polski?

Jest nią, ale nieświadomie. Oblicza ona i przelicza tylko ten grosz, który ma wydać ze swej kieszeni; waży tylko ten bochenek chleba, który ręce jej dla rodziny krają; mierzy tylko ten kawałek materiału, który ma służyć jej domowi. Nie myśli i nie pamięta o tem, że ona jest jeno częścią olbrzymiej całości, która może się stać potęgą z chwilą, gdy ją samą ogarnie świadomość tej zbiorowej siły — tego odpowiedzialnego stanowiska.

Im trudniejsze są warunki bytu narodu, im bardziej są one skomplikowane, tem bardziej ważką staje się w nim rola gospodyni, rola... pani domu.

Panią domu ją zowią i słusznie, bo ona jest tą, która domem rządzi i w nim panuje, a jednak nazwa ta, zbanalizowana, przestała być synonimem kierowniczej siły, gdyż brak uświadczenia kobiet rządzących domem co do ich znaczenia jest w Polsce większy, niż w wielu innych krajach; także brak przygotowania zawodowego do pełnienia tej szaczonej pracy jest u nas bardziej znamienny i powszechny, niż w Czechach, Belgji, Niemczech, Szwajcarji, Danji i Szwecji. Nic dziwnego, że chociaż w tej chwili cały świat przechodzi kryzys ekonomiczny i cały świat łamie się w trudnym zadaniu przewycięzenia powojennych konfliktów, Polska odczuwa je głębiej i boleśniej niż inne narody, bowiem polskie kobiety są mniej przygotowane do przeciwstawienia się spiętrzonemu trudnościom.

W tej chwili osobiwie ciężkiej, bardziej, niż kiedykolwiek, wysuwa się, jako jeden z czynników mogących wzmocnić nasze siły odporne, sprawa porozumienia wszystkich organizacji, któreby w następstwie pomogło do zrzeszenia pań domu tak, jak są zrzeszone gospodynie wiejskie.

W tej myśli zaprojektowany został pierwszy

ZJAZD W WARSZAWIE,

aby złączyć panie domu w zbiorowym wysiłku poszukiwania dróg do zorganizowania się, do przetrwania trudnych warunków bytu, aby przez organizację uświadczyć kobiety polskie o doniosłym znaczeniu zawodu gospodyni domu i aby pobudzić je do nauki i postępu w tym zawodzie.

Podobne zjazdy organizują czeski rok rocznie. Szwajcarce zdobyły się przed dwoma laty na potężną manifestację, tworząc wystawę zawodowej pracy kobiet, w której na pierwszy plan wysunęła się zawodowa praca pań domu. Niemki mają 400.000 zorganizowanych pań domu i z rokiem każdym wysuwają się bardziej na przodujące stanowisko w owym postępowym ruchu uświadczonej społeczności.

Teraz na nas kolej.

Niech z każdej okolicy Polski znajdzie się na Zjeździe w Warszawie kobieta, przejęta duchem czasu i pełna inicjatywy, niech weźmie udział w naradach i przygotowuje się do czynnej roli w zorganizowaniu pań domu na swoim terenie.

WSPÓŁCZESNA KUCHNIA WŁOSKA

Kuchnia włoska jest dla nas interesująca chociażby dlatego, że właśnie ona, a nie, jak wiele osób sądzi, francuska, jest prototypem kuchni polskiej. Królowe włoszki, a głównie królowa Bona, z rodu medjolańskich Sforzów, z części Włoch, gdzie się zawsze najlepiej jadło, przywiozła ze sobą nietylko przepisy przyrządzania niektórych dań, które do dziś dnia przetrwały w całej czystości, lecz i mycie jarzyn i przypraw w dawnej Polsce nieznanymi. Wszak i dotąd jarzyny, konieczne do ugotowania rosółu, który zresztą jest zupełnie jednakowy z włoskiem „brodo” — noszą potoczną nazwę włoszczyzny. Wszak pomidory, kalafjory, szpinak i sałata zupełnie tak samo się nazywają po włosku. Oczywiście, podróżny zwykle widzi we Włoszech tylko stół restauracyjny, który jednak, szczególnie w pensjonatach uczęszczanych przez włosków głównie, jest wiernym odbiciem stołu domowego. Ciagle, na prawo i na lewo słyszy się uwagi: „to jest smaczniej zrobione, niż u nas w domu”, lub znowu: „u nas, w domu, to się robi inaczej, lepiej”, i włoszka zaczyna rezonować, tłumaczyć, na czem polega różnica. Jeżeli chodzi o kuchnię pensjonatową, to przedewszystkiem należy podziwiać umiejętność jej prowadzenia i doskonale wyzyskanie pierwszorzędných, lecz bardzo drogich produktów. Drożyzna produktów jest tu ogromna, wszystko dwa lub dwa i pół razy droższe niż u nas, w Polsce.

Dają wszystkiego obficie. Ceny pensjonatowe są jednakowe, jak u nas w analogicznej kategorii zakładach. Należy to też przypisać ogromnej pracowitości włosków, a głównie włoszek współczesnych. Oczywiście, gra tu dużą rolę i znacznie dłuższy sezon letni, niż na naszych letniskach i w naszych miejscowościach leczniczych. Już w końcu kwietnia zjawiają się pierwsi cudzoziemcy, a ostatni wyjeżdżają w początkach listopada. Ale przez te sześć miesięcy trzeba zarobić na roczne utrzymanie całej rodziny, bo hotelarstwo jest tutaj zajęciem, wykluczającym każde inne. Nie można go prowadzić przez parę miesięcy, a resztę roku zajmować się czem innym. Szczególniej w miejscowościach kuracyjnych i dla cudów przyrody odwiedzanych przez turystów, są miasta i miasteczka, nie mające innego przemysłu, niż utrzymywanie przyjezdnych.

Ile domów w mieście lub osiedlu, tyle hoteli i pensjonatów. Konkurencja olbrzymia. To też pracuje cała rodzina. I jak pracuje! U nas, w pensjonacie, składającym się z 20—30 pokoi, a zatem uważanym za duży, oprócz samej właścicielki lub dzierżawczyni — jest dyrektor lub dyrektorka, od rachunków, korespondencji i zajęć towarzyskich z gośćmi, zarządzająca gospodarstwem, kucharz lub kucharka, parę pomocnic lub pomywaczek. Oddzielna usługa przy stole, często oddzielna przy pokojach. Otóż, tutaj przyglądam się przez parę tygodni pracy rodziny hotelarskiej w tegoż rozmiaru pensjonacie. Sam padrone, coprawda, jest trochę leniuch i mało co robi. Przeważnie zabawia gości dowcipami i bardzo uprzejmie zachęca do jedzenia w czasie posiłków. Natomiast sama padrona już o szóstej wychodzi po zakupy, które przynoszą z miasta portjer i służący, obsługujący pokoje zamieszkałe przez panów — chciałabym widzieć minę naszych dygnitarzy tejże samej kategorii. O 8-jej

pani już siedzi w hallu i robi rachunki. Siostra, córka, siostrzenica i kuzynka, pełniące obowiązki „cameriere“, kolejno podają jej wiadomości, co kto z gości zapotrzebował w ciągu dnia.

Wszelkie wino, aperitiwy, czarne kawy, napoje chłodzące zapisuje się skrzętnie. Jednocześnie goście kolejno dostają swoje „caffè-latte“, kawę z mlekiem, niezbyt zresztą smaczną. Potem wypisuje rachunki dla gości wyjeżdżających, potem pisze ładnie jadalospis całego dnia i przypina na ścianach jadalni. Panny zmieniają kwiaty w wazonach lub wodę w tych kwiatkach. Starsze „cameriere“ sprzątają pokoje i to bardzo starannie, przygotowują bieliznę i sztućce do posiłków. Portjer, naturalnie krewny, chodzi na każdy z licznych pociągów, a drugi służący już jest w kuchni i zmywa naczynie.

W kuchni panuje wspaniała „enocca“, biorąca, na włoskie stosunki, olbrzymią sumę sześciuset lir miesięcznie (300 złotych) i brana tylko na sam najgorętszy sezon, a zatem sierpień i wrzesień — resztę sezonu i rok cały gotuje sama pani.

Lecz już o dziesiątej i pani wkłada na czarną, jedwabną suknię duży fartuch i udaje się do kuchni. Bo o kwadrans po dwunastej podaje się drugie śniadanie „collazione“ i trzeba je zgotować na czterdzieści pięć osób gości i czternaście rodziny i służby, zresztą też rodziny. A posiłek taki składa się z rosółu, potrawy mącznej, mięsa lub ryby, dwóch lub trzech jarzyn, paru conajmniej gatunków sera i tyłuż, lub więcej gatunków owoców. Sama pani układa i wydaje półmiski, cztery „cameriere“ podają, portjer, służący, jakieś anonimowe pomocnice zmywają naczynia, rąbią lód, który sama padrone roznosi przez cały czas posiłku i uprzejmie zachęcając do jedzenia i picia, napełnia nim szklanki do wody i wina. Ten i ów z gości się spóźni, zawsze się znajdują niespodziani goście z miasta, więc trwa to wszystko conajmniej do drugiej. O drugiej idą na spoczynek goście, o trzeciej gospodarze i służba. Cisza zupełna zalega dom cały. Do piątej wszystko zamiera. O piątej zaczynają się przygotowania do drugiego posiłku. Wszystkie stoły już nakryte wyjeżdżają na ulicę. Tak, na uliczkę między drzewami, na trotuar, wszędzie, gdzie jest powietrze i trochę cienia.

(C. d. n.) Pani Elżbieta.

INSTYTUT PIĘKNOŚCI I ZDROWIA
zawiadamia, że Dr. J. ŚWITALSKA
powróciła i ordynuje z kosmetyką le-
karską i chorobami skóry od 10 — 12
i od 6 — 7.

Krucza 31
Tel. 102-77
WARSZAWA.

364

WZOROWE KOMPLETY

Przygotowanie do gimnazjum — pierwszy, drugi, trzeci rok nauczania w małych kompletach. Wybitne siły pedagogiczne. Stała opieka lekarska. Organizuje od 1 października Sekcja pedagogiczna Katolickiego Związku Polek. Informacji udziela przewodnicząca Sekcji, Krakowskie Przedmieście 36, parter, tel. 245-15.

371

DOBRE RADY

Rośliny ozdobne — jak palmy, draceny, aerokarje, paprocie, filodendrony i inne muszą być obficie podlewane i skrapiane. Zwłaszcza palmy i paprocie, przyzwyczajone w ojczyźnie do obfitej rosy, przy najmniej co drugi dzień powinny być skrapiane. Służby do tego znakomicie pokojowy rozpylacz automatyczny, który dostać można w składach narzędzi ogrodniczych.

* * *

Dla zasilenia roślin trzeba dodawać dwa razy na tydzień do wody przy podlewaniu, po jednym gramie siarczanu amonjaku (na litr wody). Dobrem zasileniem jest również woda, nalana na tabliczkę kleju stolarskiego w przeznaczonym na to naczyniu; w miarę ubywania, dolewać świeżej, używając jej codziennie do podlewania roślin. Doskonała także jest sól Chorzowska (sposób zastosowania znajdziemy przy każdej puszcze). Koniecznym warunkiem do osiągnięcia dobrego rezultatu jest, aby bryła ziemi dookoła rośliny nie była zasuszona, ale stale i równo wilgotna.

KORESPONDENCJE

P. Loda Barancewiczówna. — Zawodowe Kursy pielęgniarskie można skończyć w Warszawie w Szkole Pielęgniarstwa Polskiego Czerwonego Krzyża, Smolna 6. Dają prawo do objęcia posady pielęgniarki, ale kurs trwa dwa lata. Krótkie kursy prowadzi Okręgi i Oddziały Czerw. Krzyża. Może Szan. Pani zwrócić się w tej sprawie do najbliższego Okręgu do Wilna, lub do Oddziału P. C. K. w Grodnie.

Żeńskie Kursy Techniczne Ż. K. T. (architektoniczno-drogowo-wodne) w Warszawie, Hoża 88, rozpoczynają wykłady 18 września r. b. o godz. 5 wiecz. Dodatkowe zapisy można uskutecznić jeszcze do 15 października r. b.

P. Irenie W. Adres p. Ś... Pomorskie Tow. Rolnicze ul. Królowej Jadwigi 20,

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz“. Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Cel i rezultat.

Od paru miesięcy trwa w „Mównicy“ dyskusja w sprawie zmiany art. 141—142 w nowym polskim kodeksie karnym.

Zapoczątkowanie tej dyskusji miało na celu, jak to wnosić można logicznie z artykułu Redakcji, w N-rze 12-ym „Bluszczu“: „Zanim klamka zapadnie“, danie kobietom możności wypowiedzenia swego zdania, dla dostarczenia rzeczowego materiału, układającej nowy kodeks Komisji Kodyfikacyjnej. W tym właśnie celu zaznaczano w artykule, że: „odpowiedzi powinny być głęboko przemyślane i ściśle umotywowane“. Dla orientacji w sprawie przytoczono w streszczeniu rzeczowe opinie prawników, zarówno zwolenników, jak i przeciwników karalności przerywania ciąży, opinie stowarzyszeń kobiecych, które wypowiedziały się w tej kwestji, oraz wskazówkę, że samo zniesienie karalności tego czynu nie może znaczyć uznania go w znaczeniu moralnym; istnieje bowiem cały szereg czynów, uznanych w znaczeniu moralnym za złe, które jednak nie są objęte kodeksem karnym, gdyż stosowanie za nie kar jest niemożliwe lub bezcelowe.

W myśl tych założeń logicznych, zgodnych zresztą w zupełności z moralnością, prawdą i praktyką życiową, zdawałoby się, że dyskusja pójdzie drogami, przez nie wytkniętymi, to jest, że zwolenniczki karalności będą się starały przytoczyć dane, motywujące potrzebę utrzymania tych artykułów, przeciwniczki konieczność ich zniesienia.

Czy karalność przerywania ciąży jest celowa, czy bezcelowa? Oto pytanie.

Takie tylko zdania, poparte rzeczowymi argumentami, mieć mogą poważny wpływ na decyzję Komisji Kodyfikacyjnej, która bardzo stanowczo pragnęła mieć dla swej orientacji głosy społeczeństwa.

Tymczasem, z małemi bardzo wyjątkami, panie wzięły tę sprawę od strony czysto kobiecej: uczuciowości, i gromiły, lub też broniły samego czynu.

O celowości stosowania, lub niestosowania zań kary było zdań bardzo niewiele.

Gdyby w tej sprawie zabierali głos prawnicy, lub ludzie obeznani z kategorjami prawniczej myśli, wymiana zdań między przeciwnikami a stronnikami karalności przerywania ciąży byłaby następująca:

Stronnicy, ewentualnie stronniczki karalności przytaczałyby argumenty następujące: a) z punktu widzenia celowości prawnej: 1) stosowanie paragrafu jest poważną groźbą, powstrzymującą od robienia tego rodzaju zabiegów całe rzesze kobiet, oraz większość lekarzy i akuszerok, przyczem warunki majątkowe (to z punktu widzenia zarówno samej celowości prawnej, jak i sprawiedliwości społecznej) nie grają tu żadnej roli, nie jest bowiem łatwiejsze przerywanie ciąży dla kobiety zamożnej, niż dla najuboższej, 2) liczba poronień jest stosunkowo bardzo niewielka, a zniesienie karalności powiększyłoby ją wydatnie; b) z punktu widzenia celowości społecznej: 1) pożądanym jest (z przytoczeniem motywów, jak np. jaknajwiększa potrzeba rąk do pracy) wydatny przyrost ludności, 2) kraj posiada zorganizowaną opiekę

społeczną, zapewniającą dzieciom najuboższych rodzin warunki zdrowego i moralnego rozwoju, 3) rodziny, posiadające dużą ilość dzieci, wykazują wysoki stopień moralności, względny chociaż dobrobyt, energję społeczną i gospodarczą, oraz otrzymują jaknajlepsze rezultaty wychowawcze. Wszystko to poparte, o ile możności, cyfrowemi, choć w przybliżeniu, danymi i przykładami z życia.

Przeciwniczki stosowania karalności winny były argumentować przeciwnie, a więc z punktu widzenia celowości prawnej dowieść, że paragrafy, dziś obowiązujące, nie mają mocy życiowej, gdyż powstrzymują od zabiegu minimalną ilość zarówno kobiet, jak lekarzy i akuszerok, że krzywdzą tylko ubogich, gdyż panie zamożne zawsze znajdą sposób przeprowadzenia zabiegu bez szkody dla zdrowia, a ofiarą jego padają kobiety biedne, że pomimo tych przeszkód ogromna ilość kobiet ciążę przerywa, że więc groźba paragrafów i ich przeciwdziałanie jest nikłe; z punktu widzenia celowości społecznej zaznaczyć, że w Polsce przyrost ludności jest jednym z największych, a rąk do pracy jest za dużo, że organizacja opieki społecznej nie wystarcza na potrzeby ludności, wskutek tego znaczna (w cyfrach) ilość dzieci wymiera, lub rośnie w warunkach fatalnych higienicznie i moralnie, że rodziny, nieobarczone nadmierną ilością potomstwa, stoją na wyższym poziomie społecznym i gospodarczym, a dzieci ich są lepiej chowane.

Jak już zaznaczyłam, dyskusja szła nie tą drogą. Zwłaszcza zwolenniczki karalności przytaczały jedynie argumenty natury moralnej, wyważając otwarte drzwi, nikt bowiem nie postawił zasady, że przerywanie ciąży jest moralne, lub powinno być zalecane, wszyscy jednak, jako tako obznajmieni z temi sprawami, wiedzą, że istnieje cały kompleks czynów, uznanych jako niemoralne, których pomimo to, prawo nie karze, gdyż karanie ich jest niemożliwe, lub bezcelowe.

Przeciwniczki karalności kładły głównie nacisk na ciężką sytuację kobiet ubogich, lub nawet średnio zamożnych i na niemożność dobrego, racjonalnego wychowania nadmiernej ilości potomstwa, tym sposobem potrącając więcej, choć tylko ubocznie, o względy celowości, jeśli nie prawnej, to przynajmniej społecznej.

Nie można więc powstrzymać się od stwierdzenia, że logiczne i bardzo głęboko przemyślane wskazania Redakcji nie zostały wykorzystane w całej pełni.

Osobiście zdaje mi się, że jest to tylko jeden z dowodów, jak niełatwo jest przeciętnemu ogółowi kobiet zabierać głos w kwestjach prawnospołecznych, że więc powinniśmy starać się o wyrobienie ściśle logicznego sposobu ujmowania zagadnień, pogłębienie wiedzy socjologicznej, a także o beznamienne, rzeczowe traktowanie kwestji.

Co do rezultatu dyskusji, to myślę, iż mimo to, że nieraz odbiegała ona od istotnego jądra tematu, prawnicy będą mogli wyciągnąć z niej właściwe wnioski, zarówno ze statystyki cyfrowej głosów, jak i z motywów, choćby ubocznie przytaczanych.

Ważne zato jest zarówno samo wypowiedanie się

kobiet, które wszystkie, tak stronniczki, jak i przeciwniczki paragrafów, zaznaczały zgodnie, że opinia kobieca powinna być wysłuchana, jak i fakt, że koła miarodajne opinię tę chcą poznać, no i chyba... liczyć się z nią.

Marja Dr. — Warszawa

Artykułem niniejszym zamykamy narazie dyskusję w sprawie paragrafów 141—142, w najbliższym już bowiem czasie odbędzie się w Komisji Kodyfikacyjnej drugie czytanie projektu kodeksu i zatwierdzenie tegoż. Cała dyskusja, prowadzona w „Mównicy“, została więc przesłana do wiadomości członków Komisji. Dalsze losy kodeksu będą już rozstrzygane na terenie Sejmu.

Redakcja

Jaknajwięcej kobiet w szkolnictwie (w odpowiedzi p. H. Spoczyńskiej.)

Będąc sama przez kilkanaście lat nauczycielką z zamiłowania w szkołach średnich, interesuję się zawsze żywo sprawami szkolnymi, to też postaram się ze swego punktu widzenia oświetlić sprawę i odpowiedzieć na pytania, które Sz. Pani rzuciła w końcu swego ciekawego artykułu. Biorąc rzecz ogólnie, uważam, że kobiety, jeśli chodzi o zawody, są jakby urodzone właśnie do zawodu nauczycielskiego, dzięki może, jak Sz. Pani mówi, macierzyńskiemu ustosunkowaniu się do dziecka, może wskutek większej wrażliwości, a stąd większego zrozumienia duszy dziecięcej, może też wskutek rozwiniętej daleko więcej, jak u mężczyzn, cnoty cierpliwości. Jeśli chodzi o sumienność w pracy, to uważam, że kobiety są bez porównania sumiennejsze od mężczyzn, bo, jeśli zdarzało mi się zastępować nieobecnych czasem kolegów z powodu, jak się później dowiedziałam, pójścia na polowanie, czy innych podobnych przeszkód, to jednak nie widziałam nauczycielki, opuszczającej lekcję w celu dostarczenia sobie przyjemności. Jest to fakt, który napewno potwierdzą sprawiedliwi mężczyźni. Kwestji kwalifikacji nie będę poruszała, gdyż są one poto, by niewykwalifikowanych osób nie było w szkolnictwie.

Dlaczegoż więc praca kobiet na terenie szkoły byłaby niepożądana, niepożyteczna, dlategożby miała budzić nieufność? Przecież mamy fakty, które winny wywoływać wręcz inne uczucie do pracy kobiet-pedagogów: ileż to mamy godnych najwyższego szacunku pionierek w szkolnictwie, ileż to mamy tych szarych, godnych uznania pracowniczek na polu oświaty! A jeśli się znajdzie nieodpowiednia siła kobieca, to czyż wszystkie siły męskie należycie odpowiadają swemu zadaniu? Uważam, że uczucie nieufności do pracy kobiecej na terenie szkoły, to przesąd i zacofanie, które winny ustąpić miejsca sprawiedliwej ocenie tej pracy.

Zdziwiły mnie niepomierne stosunki na Górnym Śląsku; sądzę jednak, że to „niełubienie pracy kobiecej“ na forum publicznym wypływa jedynie z pokutujących tam jeszcze wpływów szkoły niemieckiej, która pasowała kobiety tylko na matki i dobre gospodynie, zapoznając całkiem ich stronę intelektualną. Wierzę mocno, że kierownictwo dwóch szkół żeńskich na Górnym Śląsku, powierzone kobietom, złamie lody przesądu, powodującego nieufność do pracy kobiecej w szkolnictwie.

Ustawa o celibacie dla nauczycielek niezupełnie mi odpowiada, bo przecież są kobiety zamężne bezdzietne, które doskonale mogą pracować w szkolnictwie, a zatem poco usuwać siły wykwalifikowane, któ-

rych u nas niema za dużo, dlatego tylko, że zmieniły swój stan cywilny. Zgodzę się, że kobiecie obciążonej dziećmi trudno jest podobać obowiązkom matki i nauczycielki zarazem, a to z tego powodu, że praca szkolna o wiele więcej absorbuje, niż biurowa. Urzędnik, wyszedłszy z biura, ma głowę wolną, na nauczyciela zaś czeka w domu cały szereg zajęć, związanych właśnie ze szkołą, jak: poprawianie zadań szkolnych, przygotowanie materiału lekcyjnego na dzień następny, a także nauczyciel, jeśli nie chce być tylko rzemieślnikiem w swoim zawodzie, winien ciągle pracować nad sobą, doskonaląc się w swojej specjalności.

Odpowiadając na pytanie, czy w szkole żeńskiej powinny uczyć i wychowywać tylko nauczycielki, czy też i nauczyciele, uważam, że, nie wykluczając mężczyzn, jednak dla dobra wychowanek znaczna przewaga sił kobiecych jest konieczna, a to dlatego, że kobietę zawsze lepiej zrozumie kobieta, niż mężczyznę, a zrozumiawszy należycie duszę dziewczęcia, potrafi lepiej na nie wpłynąć, urobić i wydać sprawiedliwszy sąd, w razie załamania się tej duszy. Uczciwi mężczyźni, jak miałam tego dowody, wyznają w takich wypadkach swoją bezsilność. Uważając więc, że rola wychowawcza kobiet w szkołach żeńskich jest wprost niezastąpiona, jakżebym chciała w niedalekiej przyszłości usłyszeć o zmianie stosunków pod tym względem na Górnym Śląsku.

Co się tyczy pracy kobiet w szkołach męskich, to uważam, że w niższych klasach, a więc do klasy 3-ciej włącznie, pożądanym jest wychowawstwo kobiet z tych względów, jakie przytoczyłam na początku mojej odpowiedzi na artykuł Sz. Pani, t. j. ze względu na większe wyczucie duszy dziecka i większe zainteresowanie się niem. Jeżeli chodzi o klasy średnie i wyższe, to taktowna nauczycielka może wychować młodzież w poszanowaniu pracy kobiecej, co wywrze dodatni wpływ na urobienie charakteru tejże młodzieży, a także wpłynie na przełamanie przesądów, dotyczących się pracy kobiecej.

Odpowiadając na czwarte pytanie, uważam, że kierownictwo zakładu żeńskiego powinno spoczywać wyłącznie w rękach kobiety.

St. Leśnikowska — Wiszowa

Nie wystarcza chcieć, trzeba umieć.

Istnieją w Warszawie (Nowy Świat Nr. 19 m. 3) od trzech lat roczne kursy, kształcące wychowawców do świetlic i internatów dla dzieci i młodzieży, oraz opiekunów społecznych.

Kursy te przyjmują tak kobiety, jak mężczyźni w wieku od 19 do 35 lat, z wykształceniem 6 klas szkoły średniej, oraz przebyłą praktyką społeczną lub wychowawczą, względnie jednostki z maturą gimnazjalną lub seminaryjną.

Wykłady obejmują działy przedmiotów pedagogicznych, prawnospołecznych, wychowania fizycznego i higieny, oraz techniczno-artystycznych. *Zaznajamianie* w instytucjach społeczno-zdrowotnymi i kulturalnymi polega na wycieczkach do różnych typów zakładów dla sierot, prowadzonych np. systemem koszarowym, rodzinkowym, samorządowym; do internatów szkolnych, do zakładów dla dzieci ociemniałych; do świetlic i czytelni dla dzieci i młodzieży; do sądu dla nieletnich, poradni wychowawczej; do placówek sztuki i kultury.

Praktykę stanowi: miesiąc w instytucjach opieki zamkniętej w zakładach dla sierot; miesiąc w instytucjach opieki otwartej w świetlicy, w przedszkolu, w poradni wychowawczej, w stacjach opieki nad ubogimi rodzinami; miesiąc w instytucjach opieki

zdrowotnej w szpitalu dla dzieci, w żłobku, w ośrodkach zdrowia; miesiąc obozowania: obóz harcerski i instruktorski.

Kurs ten przygotowuje tak w kierunku zawodowej pracy opiekuńczej, jak i w kierunku dobrowolnej, indywidualnej pracy społecznej, względnie pracy w towarzystwach dobroczynnych.

Szkola średnia mało zapoznaje młodzież z życiem współbraci z innych warstw, nie pozostawia jej nawet czasu, by przy pomocy jednostek lub organizacji mogła się zapoznać z siedliskiem nędzy, z klęskami społecznymi.

Od książki w gimnazjum przechodzi młodzież do książki na uniwersytecie, do specjalności naukowej, a całe dziedziny codziennego życia są dla niej nieznanne, więc i niezrozumiałe.

Ze zdziwieniem patrzą przebywający na Kursie Służby Społecznej dla Dziecka na całą nędzę bezdomności, o której nie mieli wyobrażenia, na wszystkie wysiłki społeczne w walce z gruźlicą, z jaglicą, widzą potrzebę współdziałania całego społeczeństwa w walce z bezrobociem, poznają trudności, z jakimi spotkać się im nieraz przyjdzie w pracy dobrowolnej czy zawodowej i uczą się zmagać z nimi i zwyciężać je.

Państwo polskie powołuje dziś swych obywateli do zwalczania nędzy, mianując dostateczną ilość opiekunów społecznych wśród społeczeństwa.

By te obowiązki spełnić owocnie, potrzeba znajomości zagadnień i sposobów pracy społecznej.

Zagranicą istnieją od szeregu lat „szkoły społeczne”, kształtujące jednostki do pracy w dziedzinie opieki społecznej. U nas pełnią tę rolę od lat kilku Studium Pracy Kulturalno-Oświatowej przy Wolnej Wszechnicy w Warszawie, Katolicka Szkoła Społeczna w Poznaniu i Kurs Służby Społecznej dla Dziecka w Warszawie.

Należałoby, aby każdy, pragnący pracować społecznie, przeszedł taki fachowy kurs.

W. S. — Warszawa

Od innej strony (w odpowiedzi p. B. J. i p. Makowskiej).

Poruszyły Szanowne Panie kwestję zawodów przy maturze i tragicznych konfliktów przy nie otrzymaniu promocji. Przytaczają Panie znaczny procent „obciętych” maturzystów, tragiczny fakt samobójstwa wyrostka, nie otrzymującego promocji.

Są to istotnie sprawy bardzo bolesne, tylko trzeba jednak spojrzeć im w oczy trzeźwo. Gdy jest zaniebdanie ze strony zarządu uczelni, gdy niema profesorów danych przedmiotów przez czas dłuższy, gdy który z pp. nauczycieli postępuje niesprawiedliwie, zabawia się w zjadliwą ironję i t. p., możemy to piętnować. Należy też ostrzegać rodziców przed nazbyt krańcowym przedstawianiem młodzieży „obcięcia” jako hańby i beznadziejności; nieposób jednak żądać, by nieprzygotowanego (może i bez swojej złej woli, czy winy) ucznia kwalifikowano do wyższej klasy, lub dawano mu świadectwo maturalne, dlatego tylko, że niepowodzenie może doprowadzić do samobójstwa. „Powodzenie” niezasłużone może się też stać przyczyną udręki: profesorowie wyższych uczelni uskarżają się na rozpaczliwą niedojrzałość do pracy umysłowej obdarzonych maturą studentów, a i uczeń, nie rozumiejący wykładu w za wysokiej dla siebie klasie, nie korzysta sam, przeszkadza innym, jest utrapieniem nauczyciela.

Kiedyś czytałam rzecz o samobójstwie nieletnich z przytoczeniem powodów. Obok zawodów miłosnych i szkolnych, były i takie: ojciec odmówił no-

wej sukienki; a mamusia wobec deszczu nie pozwoliła wziąć nowej czapki...

Trzeba, by wychowanie wpływało na zdobycie przez młodzież tężyzny ducha, gotowości do walki bez kapitulacji, trzeba też, żeby dom rodzinny był dla dziecka arką przysiężną na falach życiowych potopów.

M. B. z Lubelskiego

„Dajmy głos“.

Od dłuższego czasu toczy się polemika, czy uznać za godną szacunku matkę nieślubną. Jedne z Pań w imię idei Chrystusowych, każą nieszczęśliwym kobietom pokutować za swój ciężki grzech, że ośmieliły się odrzucić zbrodnię zabicia własnego dziecięcia i podjęły się wychować je na człowieka, może nawet w bardzo przykrych warunkach.

Druga grupa Pań twierdzi przeciwnie, że nie tylko przez ślub dostępuje się szacunku, lecz też przez swe postępowanie w życiu.

Jedna strona, jak i druga mają swoją rację, lecz trzeba tę rację wypośredkować, żebyśmy mogły dojść do porozumienia, w tej tak bardzo poważnej sprawie.

Matki nieślubne nie tłoczą się, nie garną w szeregi kobiet godnych szacunku i nie żądają tego szacunku dla siebie; przecież one nigdzie się nie wypowiedziały, bo któżby pomyślał o nich, by je do słowa dopuścić. Nonsens. Te jawnogrzesznice niech cierpią i czekają zmiłowania Bożego w postaci przyjęcia ich do grona zacnych i godnych.

Chciałabym zaproponować Szan. Paniom, by pozwoliły wypowiedzieć się tym nieszczęśliwym, może wtedy inaczejbyśmy się na macierzyństwo nieślubne zapatrywały. Proszę bardzo o poparcie mego projektu i „dajmy głos” nieślubnym matkom, bo przecież każdy podsądny, przed ogłoszeniem wyroku, ma prawo głosu w swej obronie.

Leonarda W.

Ile to zajmie czasu?

Zawiodłam się bardzo, gdyż przeczytawszy w „Bluszczu” artykuły o potrzebie przestrzegania punktualności, myślałam, że wywiąże się na ten temat ożywiona dyskusja. Czy jesteśmy wszystkie tak punktualne, że już o tem mówić nie potrzebujemy? A ja właśnie chciałam podzielić się z paniami mojem doświadczeniem, poprostu technicznym. Dlaczego wiele razy spóźniamy się? bo nie umiemy dokładnie obliczyć ile czasu zabierze nam jakaś czynność, jakieś zajęcie, otóż tej techniki obliczania czasu podług zajęć, wykonywanych ściśle w tem samym tempie, nauczył mnie ongi Wielki Pan Mus. Było to w latach powojennych, dostałam zajęcie, do którego musiałam jeździć codziennie koleją, parę stacyj, na godzinę ósmą rano. W moim zniszczonym przez wojnę domu nie było zegara, słyszałam tylko zegar, bijący obok, przez ścianę u sąsiadów, i ten budził mnie co rano, o 6-ej. Tak, ale w jaki sposób obliczyć czas do wyjścia z domu? Poprostu mierzyłam ten czas na zajęcia. Myłam się, czesalam, ubierałam, jednocześnie przygotowując sobie śniadanie, robiąc to wszystko w tak jednakowym codziennym tempie, że doszłam do zupełnej wprawy. Wychodziłam codziennie o tej samej minucie (o parę kroków od domu był zegar miejski, więc mogłam sprawdzić) i przez pół roku, obchodząc się tak bez zegara, nie spóźniłam się ani razu. W dodatku ta wprawa w pamięciowym mierzeniu czasu pozostała mi do dziś. To też myślę, że tego rodzaju obliczanie czasu, potrzebnego na zrobienie czegoś, to jedna z lepszych dróg, wiodących do punktualności.

Wanda R. — Poniewież.